

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VIII

Warszawa, 16 marca 1952 r.

Nr 11 (329)

Blaise PASCAL

M Y Ś L I P O K O R N E*)

/ NUMERZE m. in.:

T. MAZOWIECKI — Obserwacje rozdroża

Z. CZAJKOWSKI — Polska bandera bliżej Arktyki

F. WITOWICKI — Norwegia broni swych praw

B. WELLENGER — Piotr Norblin

T. WIERZBICKI — Znaczenie przestrzeni zielonych w miastach

O TO dokąd nas wiodą przyrodzone wiadomości. Jeśli nie są prawdziwe, nie masz prawdy w człowieku; jeśli są, znajduje w nich źródło upokorzeń, zmuszony poniżyć się w ten czy ów sposób. I skoro nie może istnieć nie wierząc w nie, żyć, aby przed zapuszczeniem się w dalsze tajemnice przyrody zważył się raz poważnie i do syta, aby się przyjrzał też samemu sobie i wiedząc, jak proporcja zachodzi...

Niechaj tedy człowiek przyjrzy się naturze w jej wzniosłym i pełnym majestacie, niech oddali wzrok od nijskich przedmiotów, jakie go otaczają. Niech spojry na to ośniewające światło, niby lampa wiekuista oświecająca wszechświat; niechaj zda mu się jako punkcik w stosunku do rozległego kregu, jaki ta gwiazda opisuje; i niech się zdumieje, że ów rozległy krag jest jeno drobnym punkcikiem w porównaniu z tym, jakie obejmują gwiazdy toczące się na firmamencie. Ale jeśli nasz wzrok zatrzymuje się tutaj, niechaj wyobraźnia idzie dalej; wcześniej znuży się pojmowaniem niż natura dostarczeniem przedmiotów. Cały ten działalny świat jest niedostrzegalną drobiną na rozległym łonie natury. Żadna idea nie zdoła się do tego zbliżyć. Darmo byśmy pietrożyli nasze pojęcia poza wszelkie dające się pomyśleć przestrzenie; rodzimy jeno atomy w stosunku do rzeczywistości rzeczy. Jest to nieskończona kula, której środek jest wszędzie, powierzchnia nigdzie. Słowem, jest to najbardziej dotykalny znak wszechpotęgi Boga, że nasza wyobraźnia gubi się w tej myśli.

Niechaj człowiek wróciwszy do siebie zważy, czym jest w porównaniu do tego, co istnieje, niechaj spojry na się jak na coś zabłąkanego w tym zakątku przyrody i niechaj z tej małej celi, w której go pomieszczono (mam na myśli wszechświat), nauczy się oceniać ziemię, królestwa, miasta i samego siebie wedle słusznej oceny. I czym jest człowiek w nieskończoności?

Ale jeśli chce oglądać inny cud równie zdumiewający, niech zbada to, co zna najdrobniejszego. Niechaj roztoz¹⁾ ukaże mu w swoim małym ciele części nieskończenie mniejsze, nogi ze stawami, żyły w tych nogach, krew w tych żyłach, soki w tej krwi, krople w tych sokach, wapory w tych kroplach; niech dzieląc jeszcze te ostatnie rzeczy wyczerpie swoje siły w tych wyobrażeniach i niech ostatni przedmiot, do którego zdoła dojść, stanie się przedmiotem naszej rozprawy; pomyśli sobie, że to jest ostateczna małość w przyrodzie. O-tóż ukaże mu tam nową otchłani. Chcę mu odmalować nie tylko wszechświat widzialny, ale niezmierność tego, co można sobie wyroić w naturze w obrębie tej cząstki atomu. Niechaj ujrzy tam nieskończoność światów, z których każdy ma swój firmament, swoje planety, swoją ziemię w tej

samej proporcji co świat widzialny; na tej ziemi zwierzęta i wreszcie żyjątko, w których odnajdzie to samo, co znalazł w owych pierwszych; i znajdując znowu w tych te same rzeczy bez końca i spoczynku, niech się zgubi w tych cudach równie zdumiewających w swej małości jak inne w swym bezmiarze. Jak bowiem nie podziwiać, iż nasze ciało, które dopiero co było niedostrzegalnym punktem w świecie, niedostrzegalnym znowu na łonie wszystkiego, stało się obecnie kolosem, światem lub raczej wszystkim w stosunku do nicości, do której nie podobna dotrzeć?

Kto się zważy w ten sposób, przestraszy się samym sobą i zawieszony między tymi dwiema otchłaniami. Nieskończonością i Nicością, zadrży na widok własnych cudów; sądzę, iż mieniac ciekawość swoją w podziw, skłonniejszy będzie przyglądać się im w milczeniu niż zarozumiałe dociekać ich tajemnicy.

Ostatecznie bowiem czymże jest człowiek w przyrodzie? Nicością wobec nieskończoności, wszystkim wobec nicości, pośredkiem między niczym a wszystkim. Jest nieskończenie oddalony od rozumienia ostateczności; cel rzeczy i ich początki są dlań na zawsze ukryte w nieprzeniknionej tajemnicy; równie niezdolny jest dojrzeć nicości, z której go wyrwano, jak nieskończoności, w której go utopiono.

Cóż tedy ma uczynić, jeśli nie zadowolili się jakimś pozorem pośredku rzeczy w wiekistej niemożności poznania bądź celu ich, bądź początku? Wszystkie rzeczy wyszły z nicości i biegają w nieskończoność. Któż na-ląży tym zdumiewającym wędrówkom? Autor tych cudów rozumie je; ikt inny.

Nie wpatrzywszy się w te nieskończoności, ludzie zwrócili się zuchwale ku zgłębieniu natury, jak gdyby istniał jakiś stosunek między nimi a nią. Osobliwy pomysł, chcieli zrozumieć zasady rzeczy i z nich dojść do poznania wszystkiego w zarozumieniu równie nieskończonym jak ich przedmiot; to pewna bowiem, iż nie można powziąć tego zamiaru bez zarozumiałości lub pojętności równie nieskończonej jak natura.

CZŁOWIEK oświecony rozumie, że skoro natura wyrzyła obraz swój i swego twórcy we wszystkich rzeczach, mają one prawie wszystkie coś z tej podwójnej nieskończoności. Tak widzimy, że wszystkie nauki nieskończone są w rozciągłości swoich badań; któż bowiem wątpi, że matematyka na przykład posiada nieskończoną nieskończoność możliwych twierdzeń. Są one zarówno nieskończone w mnogości jak w subtelności swej istoty; któż bowiem nie widzi, że te, które przedstawiono nam jako ostateczne, nie wspierają się na samych sobie, ale oparte są na innych, które znowu wspierają się na innych, nie dopuszczają nigdy kresu? Ale my czynimy z ostatnimi rzeczami, dostrzeganymi dla rozumu tak, jak się czyni w rzeczach materialnych, gdzie na-

zywamy niepodzielnym ten punkt, poza którym zmysły nasze już nie spozstrzegają, mimo że jest podzielny ze swej natury.

Z tych dwóch nieskończoności wiedzy nieskończoność wielkości jest o wiele dotykalsza, dlatego niewiele zdarzyło się utrzymywać, że znają wszystkie rzeczy. „Będę mówił o wszystkim“, powiadał Demokryt.

Natomiast nieskończoność w małości jest o wiele mniej widoczna. Filozofowie o wiele łatwiej mniemali, że tam dotrą, i wszyscy się o to rozbili. To dało początek owym tak zwyczajnym tytułom. O zasadach rzeczy, o zasadach filozofii i tym podobnym, równie napuszonym w istocie, mimo iż mniej z pozorów, co ów inny, który bije w oczy: De omni re scibili. (O wszystkich rzeczach poznawalnych).

Mniemamy, iż z natury jesteśmy o wiele zdutniejsi, aby dojść do jądra rzeczy, niż aby ogarnąć ich powierzchownie. Widoczny ogrom świata widocznie przewyższa nas; natomiast ponieważ to my przewyższamy drobne rzeczy, sądzimy, że łatwiej zdołamy je osiągnąć. Wszelako nie mniej zdutności potrzeba, aby dojść do nicości, co do wszystkiego; do obu rzeczy potrzebna jest zdutność nieskończona: zdaje mi się, że kto by pojął ostateczne pierwiastki rzeczy, mógłby też dojść i do poznania nieskończoności. Jedno zależy od drugiego i jedno prowadzi do drugiego. Te ostateczności schodzą się i jednoczą oddalając się od siebie i odnajdują się w Bogu i tylko w Bogu.

Znajmy więc naszą wartość; jesteśmy czymś, lecz nie jesteśmy wszystkim; istnienie nasze zasłania nam świadomość pierwszych zasad, które rodzą się z nicości, a niktós tego istnienia broni nam widoku nieskończoności.

Poznanie nasze zajmuje w porządku rzeczy poznawalnych to samo miejsce, co ciało nasze w rozmiarach przyrody.

Jesteśmy ograniczeni w każdym kierunku; ten stan zajmujący środek między dwoma krańcami przedstawia się we wszystkich naszych zdolnościach. Zmysły nasze nie chwytają nie krańcowego; zbyt wielki hałas nas ogłusza, zbytynie światło oślepia, zbytynia odległość i zbytynia bliskość umyka się wzrokowi, zbytynia rozciągłość i zbytynia zwięzłość mowy zaciemniają ją, zbytynia prawda oślepia nas: znam takich, którzy nie mogą zrozumieć, że jeżeli od zera odejmie się 4, zostanie zero; pierwsze zasady są dla nas zbyt oczywiste, zbyt wiele rozkoszy nuży, zbyt wiele dobrodziejstw drażni, chcemy mieć z czego zapłacić dług z nawiązką: Beneficia eo usque laeta sunt, dum videntur exsolvi posse; ubi multum antevenero, pro gratia odium redditur (Dobrodziejstwa do tego kresu są miłe, dopóki nam się zdaje, że możemy je odpłacić; gdy zbytynio przechodzą miarę, zamiast wdzięczności oddaje się nienawiść.)

Nie czujemy ani nadmiernego gorąca ani nadmiernego zimna. Właściwości ostateczne szkodzą nam, ale nie są dotkliwie: nie czujemy ich już, cierpimy od nich. Zbyt wczesna młodość i zbyt późna starość upośledzają umysł, słowem, rzeczy ostateczne są dla nas tak, jakby nie istniały i my nie istniejemy w stosunku do nich: umykają się nam albo my im.

O TO nasz prawdziwy stan: oto co nas czyni niezdolnymi ido wiedzy pewnej i do zupełnej niewiedzy. Żeglujemy po szerokim przestworzu, wciąż niepewni i chwiejni, popychamy od jednego do drugiego krańca. Czegokolwiek chcielibyście się uciepić, wraz chwycie się to i oddala; a jeśli podążamy za tym, wymyka się, wyslizguje i wiekuiście ulata. Jest to stan naturalny, najbardziej wszelako przeciwny naszym skłonnościom; pałamy żądzą znalezienia oparcia i ostatecznej podstawy, aby zbudować na niej wieże wznoszące się w nieskończoność; ale cały fundament trzaska i ziemia rozwiera się otchłania.

Nie szukajmy tedy pewności i stałości. Rozum zawsze pada ofiarą pozorów, nie nie zdoła ustalić skończoności między dwiema nieskończonościami, które obejmują ją i umykają się jej.

Skoro ten pośredek, który nam przypadał w udziale, zawsze odległy jest od krańców, cóż znaczy, że człowiek będzie miał nieco więcej zrozumienia rzeczy? Jeśli je ma, widzi świat z nieco bardziej wysoka; ale czyż nie jest zawsze nieskończenie odległy od krańca i czyż trwanie naszego życia nie jest jednak odwołane od wieczności, niechby i trwało dziesięć lat dłużej?

W perspektywie tych nieskończoności wszystkie skończoności są równe; nie widzę tedy, czemu raczej czeptać się tej niż innej. Samo porównanie między nami a skończonością sprawia nam przykrość.

Gdyby człowiek zaczął od zgłębienia siebie, spozstrzegłby, jak bardzo jest niezdolny przejść tę granicę. W jaki sposób część mogłaby poznać całość? — Będzie może dążył do poznania bodaj tych części do których jest w jakimś stosunku? — Ależ cząstki świata tak się łączą i zaszębiają wzajem, iż wyda mi się niemożliwe znać jedną bez drugiej i bez wszystkiego...

Człowiek na przykład jest w jakimś stosunku do wszystkiego, co zna. Potrzebuje miejsca, aby go pomieściło, czasu dla trwania, ruchu dla życia, żywiołów, aby go utworzyły, ciepła i pokarmów dla odżywienia, powietrza dla oddychania; widzi światło, czuje ciepła; słowem, wszystko wchodzi z nim w związek. Aby zatem znać człowieka, trzeba wiedzieć, skąd pochodzi, iż potrzebuje powietrza, aby istnieć; aby znać jedno, trzeba znać drugie.

Ponieważ tedy wszystkie rzeczy są następstwem i przyczyną, dozna-

ją i udzielają pomocy, pośredniczą i korzystają z pośrednictwa i wszystkie łączą się naturalnym i tajemnym węzłem, który łączy najbardziej odległe i różne części, uważam za niemożliwe znać części nie znając całości, jak również znać całość nie znając poszczególnych części.

Wieczność rzeczy sama w sobie lub w Bogu również musi oszalać krótkie nasze trwanie. Stałość i niezmiennność przyrody w porównaniu do ustawnej zmiany, jaka w nas zachodzi, musi sprawiać też samo wrazenie.

A niemocy naszej w poznaniu rzeczy dopełnia to, iż są one proste same w sobie, my zaś jesteśmy złożeni z dwóch przeciwnych i różnorodnych natur, z duszy i z ciała. Nie podobna bowiem, aby ta część, która w nas rozumuje, była innej natury niż duchowej; a gdyby ktoś twierdził, że jesteśmy tylko cielesni, to by nas odwołano o wiele bardziej od poznania rzeczy, ile że nie ma nic bardziej niepojętego, niż rzecz, że materia zna samą siebie: nie podobna mam pojąć, w jaki sposób ona mogłaby się pojąć.

Tak więc jeśli jesteśmy po prostu materią, nie możemy zgola nie poznać; jeśli zaś składamy się z ducha i z materii, nie możemy poznać do gruntu rzeczy prostych, cielesnych czy duchowych.

Stąd pochodzi, iż prawie wszyscy filozofowie mieszały pojęcia rzeczy i mówią o rzeczach cielesnych duchowo a o duchach cielesnie. Powiadają lekko, że ciała dają ku dołowi, że ciała od swego środka, że lekają się próżni, że mają skłonności, sympatie, antypatie: wszystko rzeczy właściwe jedynie duchom. Mówiąc zaś o duchach uważają je jakoby będące w jednym miejscu i przypisują im poruszanie się z jednego miejsca na drugie: rzeczy właściwe jedynie ciałom.

Zamiast odbierać czyste pojęcia tych rzeczy, barwimy je naszymi właściwościami i nasycaemy naszą złożoną istotą wszystkie rzeczy proste, które zważamy.

Któż by nie myślał widząc, jak składamy wszystkie rzeczy z ducha i ciała, że ta mieszanina jest dla nas bardzo łatwa do pojęcia? Jest to wszelako rzecz, która pojmujemy najmniej. Człowiek jest dla siebie samego najbardziej zażwiawającym przedmiotem w naturze: nie może bowiem pojąć, co to jest ciało, a jeszcze mniej, co to jest duch, najmniej zaś, w jaki sposób ciało może być spójne z duchem. To jest dlań szczyt trudności, a wszelako to jego własna istota: Modus quo corporibus adhaerent spiritus comprehendendi ab hominibus non potest, et hoc tamen homo est. (Św. Augustyn, De civ. Dei, 21, 10. „Sposób, w jaki ciała zespolone są z duchem, niepojęty jest dla ludzi, a wszelako to jest człowiek“.)

*) Fragmenty wyjęte z „Myśli“ B. Pascala w tłum. T. Boy-Zeleńskiego.

1) Owad uchodzący wówczas za najdrobniejsze ze zwierząt widzianych gołym okiem.

Porozumawiajmy..

Panie Redaktorze

Pismo Wasze jest przede wszystkim pismem społecznym. Interesuje się w różnym stopniu całością współczesnej problematyki katolickiej.

Sądzę więc, że pismo Wasze czytają przede wszystkim ci ludzie, którzy będąc świadomymi katolikami, kierują swe zainteresowania ku problemom dnia codziennego. Ku życiu.

Myślę jednak, Panie Redaktorze, że w naszym, katolickim życiu nie można oddzielać od siebie dziedziny duchowej od spraw doczesnych. Dla mnie katolik jest jedną całością, w której miłość do Boga, troska o bliźnich i dbałość o swoje zbawienie — to jedno i to samo. Nic tu oddzielić nie można. Dlatego myślę też, że właśnie ludzie czynu, ludzie żyjący problemami społecznymi powinni w swoim własnym kręgu troszczyć się także i o wymowę naszej, czysto religijnej postawy.

Chciałabym Panów zachęcić, nie wiem czy będę umiała to właściwie wyrazić, do zaapelowania do katolików o większy wkład pracy w pogłębianie ich osobistego życia religijnego. Apelować nie do tych, którzy z natury czy z oddziedziczonych zainteresowań czy zwyczajów są religijni, z upodobaniem chodzą do kościoła na różnorakie nabożeństwa, czytają literaturę religijną. Apelować właśnie do tych, którzy pochłonięci w najlepszych intencjach sprawami doczesnymi, czasami zaniedbują swą własną kulturę duchową.

Nadchodzi okres Wielkiego Postu. Życie liturgiczne Kościoła jest chyba w tym okresie najintensywniejsze. Kościół też wymaga od nas w tym czasie większej pracy nad sobą, modlitwy, postu wreszcie spowiedzi wielkanocnej. Myślę, że należałoby wykorzystać ten okres właśnie, by rzucić hasło pogłębienia naszej postawy katolickiej.

Dlaczego ja się z tym właśnie do Panów odezwałam? Jestem w pełnym tego słowa znaczeniu człowiekiem świeckim, pracuję zawodowo, lubię swój zawód, cenię swe życie osobiste. Żyję więc otoczona różnymi ludźmi. Nierzadko mi dokuczają, zresztą nie złośliwie, że jeśli jestem katoliczką — to powinnam być świętą, bo przecież moralność katolicka jest bezkompromisowa. Bwają na tym tle różne bardzo gorące dyskusje o tym jak katolikiem wygląda w teorii — w nauce Kościoła — a jak w praktyce, w codziennym życiu „ludzi którzy chodzą do kościoła”.

Nabrałam przekonania, że więcej od najbardziej uczonych i przemysłowych wywodów, więcej nawet od pięknych ksiązek katolickich pisarzy, może się przysłużyć sprawie katolickiej — wzorowa postawa każdego z nas. Trzeba po prostu dawać swym codziennym życiem świadectwo, że naprawdę jesteśmy wyznawcami Chrystusa i Jego Ewangelii.

Więc może by tak, z okazji Wielkiego Postu, rzucić hasło — każdy katolik w tym okresie zastanowi się, czy, uważając się za wyznawcę Jezusa Chrystusa, w swym codziennym życiu naprawdę godnie Go reprezentuje. Czy naprawdę „daje świadectwo Prawdzie”?

Mnie osobiście ciśnie się na myśl bardzo wiele takich zagadnień, ale nie wiem czy one są właśnie najważniejsze. Myślę, że znaleźć się ktoś, by je uporządkować, uzupełnić.

Więc przede wszystkim — nasz wewnętrzny stosunek do modlitwy. Bardzo często odnoszę wrażenie, że widok naszych kościołów, zwłaszcza w mieście, byłby gorszący dla niewierzących, tak mało w zachowaniu wiernych prawdziwej nabożności, świadomości, że na ołtarzu odbywa się ten sam cud, który dzieł się na oczach Apostołów w Wierczeni.

Następnie — nasza troska o dobro Kościoła. Często ma się wrażenie, że w umysłach wielu z nas nad poczuciem zobowiązań jakie pociągają przynależność do Kościoła, na pierwszy plan wysuwa się coś, co by można było nazwać — „oczekiwaniem na dywidendy”, spodziewaniem się korzyści, i to nie tylko pozadoczesnych, ale i czysto ziemskich.

A nasz stosunek do pracy, czy jest dostatecznie chrześcijański, czy też nie jest zbyt często egoistyczny, wyliczony? Obowiązki małżeńskie, wielkie przykazanie czystości, uczciwość, dobroć. A zagadnienie naszego stosunku do posiadania. Czy przez ciągłe akcentowanie katolickich postulatów na odcinku własności nie przebiega czasami — po prostu zachłanność na dobra ziemskie, rozumiana najbardziej egoistycznie?

Myślę, że w okresie Wielkiego Postu każdy powinien przemyśleć te zagadnienia. Przeanalizować choćby tylko jedno, jemu najbliższe, gdzie jego niedoskonała postawa przynosi sprawie katolickiej największą szkodę, najbardziej obraża Boga. Każdy powinien powziąć decyzję poprawy.

Bardzo proszę Pana Redaktora o poruszenie tej sprawy na łamach „Dziś i Jutro”. Jestem przekonana, że właśnie ta droga jest najważniejsza.

Przesyłam dla całej Redakcji życzenia dalszej zbożnej pracy.

H. L. z Torunia.

Szanowna Pani

Nie mam nic do dodania do Pani listu. Nie widzę racji, dla której inicjatywę, którą Pani tak pięknie podjęła, miałaby nasza redakcja w swoim imieniu wysuwać. I my uważamy, tak jak i Pani, że katolik powinien realizować jedność spraw doczesnych i spraw wiecznych. Stały kontakt z pełnią życia liturgicznego Kościoła to warunek zasadniczy religijności każdego z nas. Okres Wielkiego Postu jest okresem spojrzenia w głąb naszych sumień. Przekazujemy więc, solidaryzując się w całej pełni, Pani wezwanie — ZASTANÓWMY SIĘ, CZY GODNIE DAJEMY ŚWIADECTWO PRAWDZIE.

W. K.

Przed Międzynarodową Konferencją Ekonomiczną

W związku ze zbliżającym się terminem rozpoczęcia konferencji gospodarczej w Moskwie (3 kwietnia), mamy do zanotowania szereg ciekawych wypowiedzi wielkich dzienników zachodnich oraz pism reprezentujących sfery gospodarcze europejskich krajów kapitalistycznych. Z wypowiedzi tych wynika niedwuznacznie, że w interesie gospodarki krajów zachodnich leży nawiązanie oraz rozwój stosunków handlowych z państwami Europy Wschodniej. Rozszerzenia wymiany towarowej z Europą Wschodnią i Południowo-Wschodnią domagają się nie tylko postępowi ekonomiści europejscy, ale przemysłowcy i przedstawiciele wielkich towarzystw handlu zagranicznego. W swych przemówieniach i artykułach niejednokrotnie wykazywali już szkodliwość i bezsens dyskryminacyjnej polityki ekonomicznej, zainicjowanej przez rząd Stanów Zjednoczonych, a która pod presją amerykańską coraz częściej stosują rządy Anglii, Francji, Włoch i Beneluxu.

I tak „Le Monde”, rzecznik interesów francuskiego „Comité des Forges”, tak analizuje sytuację w numerze z 20 lutego:

„Oskarżony o otaczanie się ostrożną „żelazną kurtyną”, Związek Radziecki zaprasza do Moskwy w kwietniu przemysłowców i ekonomistów ze wszystkich krajów. Czy skorzystamy z tej okazji? Akurat! Otóż rząd francuski nie tylko, że

nie wyśle żadnej delegacji oficjalnej, ale ma zamiar zakomunikować zainteresowanym, że mają pełne prawo pojechać do Rosji... i stracić raz na zawsze możliwość uzyskania wizy na podróż do Stanów Zjednoczonych.

Cóż to znaczy? Czyżby klimat Moskwy był tak zaraźliwy, że żaden przemysłowiec nie potrafi się oprzeć jego urokowi? Nie. Wcale nie o to chodzi. Otóż w Waszyngtonie obawiają się, żeby przemysłowcy z krajów europejskich nie wrócili z Moskwy obdarzeni potężnymi zamówieniami i nie sprzeciwili się zakazom amerykańskim stosowania wymiany handlowej z krajami Wschodniej Europy. Zaiste dziwny kompleks niższości. Czy nie byłoby lepiej natomiast, gdyby sfery gospodarcze Europy były jak najliczniej reprezentowane w Moskwie?”

Podobne stanowisko do rządu francuskiego zajął również rząd brytyjski. Przemawiając w Izbie Gmin, minister Eden oświadczył, że rząd J. K. Mości nie ma zamiaru wysłać delegacji oficjalnej do Moskwy, ale że przemysłowcy brytyjscy mogą w niej brać udział, jeśli uważają to za stosowne. W związku z tym opowiada się z ironicznym uśmieszem w Londynie, że kilku przemysłowców angielskich, którzy w ostatnich miesiącach bawili w ZSRR jako członkowie delegacji kwateronów, no przecieżże zrzucili natychmiast czarny surdut kwakerski i udali się Stanów Zie-

dnoczonych, już jako przemysłowcy.

Analizując powyższe zabawne zjawisko poważny dziennik reprezentujący sfery gospodarczo-finansowe włoskie „24 ore” pisze, co następuje:

„Fakt ten wykazałby raczej pewne zrozumienie dla spraw gospodarczych tak ze strony angielskiej jak i amerykańskiej. Bo dyskryminacyjna polityka ekonomiczna, stosowana na dłuższą metę, przynosi trudności gospodarce, nędzę, a w ostateczności zwraca się przeciwko tym, którzy pozwolili kierować się zasadami fałszywej ideologii”.

„Toteż — pisze dalej „24 ore” — byłoby rzeczą wskazaną, aby odpowiedzialny rzecznik rządowy jasno nam powiedział, jakie stanowisko kraj nasz ma zamiar zająć wobec konferencji w Moskwie. I bez żadnych przemówień o charakterze politycznym, bez czezej gadaniny o wewnętrznych sprawach ZSRR, bo to w tym wypadku nie jest ważne, ale z wyluszczeniem powodów i argumentów uczciwych, które by usprawiedliwiały zajęcie takiego czy innego stanowiska. Jeśli jesteśmy związani z USA w taki sposób, że ich jedno „nie” warte jest więcej niż możliwości uzyskania poprawy bytu naszej ludności, to niech to nam jasno powiedzą. W przeciwnym wypadku prosimy o wytłumaczenie, dlaczego zamierza się przegapić okazję podniesienia naszej produkcji i zwiększenia obrotów naszego handlu zagranicznego”.

J. P.

NOTATNIK POLITYCZNY

W Paryżu i w Londynie

FRANCUSKI „Ce Soir” pisał przed kilku dniami: „Upadek rządu Faure'a odzwierciedla trudności, na jakie napotyka program lizboński”. Okazuje się, że łatwiej było w słonecznej Lizbonie podejmować decyzje, aniżeli następnie realizować je we własnych krajach, gdzie trzeba stawić czoło opinii społeczeństwa, które bynajmniej nie jest zachwycane perspektywą zbrojeń, a w konsekwencji ruiny gospodarczej, nędzy i bezrobocia.

Przekonał się o tym premier Faure, który przywołał z Lizbony amerykańską instrukcję nakazującą podwyższenie wydatków zbrojeniowych z pierwotnie przewidzianych 1.120 miliardów franków na 1.400 miliardów franków. Większość parlamentarna uchwaliła o prawda wydatki na zbrojenia, nie zdobyła się jednak na odwagę nałożenia na społeczeństwo nowych ciężarów podatkowych na pokrycie tych zbrojeń. Denutowani radykalni przypomnieli sobie nawet przy tej okazji, że nie mogą przecież łamać obietnic przedwyborczych, w których przyrzekli, iż będą walczyć przeciwko podwyżce podatków. Komentując kryzys rządowy „Ce Soir” pisze: „Fakt, że mimo presji zagranicy i mimo zdrady SFIO (prawicowych socjalistów) poważna liczba denutowanych „większości” wypowiedziały się przeciw projektom rządowym — świadczy o potęgze opozycji mas ludowych”.

Następca Faure'a, „niezależny” Pinay, którego hipoteka obciążona jest współpracą z regimem Petain'a i hitlerowcami, tworzy rząd w oparciu o prawicę parlamentarną z wyłączeniem socjalistów. O powodzeniu Pinay'a zdecydowała tym razem „rebela” 27 posłów gaullistowskich, którzy oddali swe głosy na nowego premiera oficjalnie zbuntowali się przeciw polityce partii, a nieoficjalnie — co ulawniła prasa — wykonali tylko polecenie swego wodza.

W swoim pierwszym exposé nowo-upieczony premier Pinay wyraził „zdecydowaną wolę wykonywania zobowiązań wobec aliantów”, przede wszystkim, aby uspokoić wzburzonych kryzysem francuskim senatorów amerykańskich. Wzburzeniu te-

mu dał niedawno wyraz senator Conally w formie tak brutalnej, że nawet monarchiczyk Daladier poczuł się do żywego dotkniętym i replikował na łamach „Information”, że Conally mówił o Francuzach nie jako przyciśniętych, lecz jako o „nieposłusznych lokajach”.

Jest faktem, że po raz pierwszy w powojennej Francji kandydat na premiera uzyskał inwestyturę bez poparcia socjalistów. Tym niemniej — jak pisze „Paris Presse” — SFIO będzie mogła obecnie z większą łatwością pogodzić się z formułą „unii narodowej” od socjalistów do rozłamowców gaullistowskich włącznie. Bardziej charakterystyczna jest jednak dla sytuacji, w jakiej znaleźli się socjaliści, opinia „Franc Tiren”, który sugeruje kierownictwu SFIO odegranie roli opozycji.

Rzecz charakterystyczna, że podobny rozwój sytuacji obserwujemy i w Anglii. Toczy się tam już od dłuższego czasu ostra polemika w kwestii zbrojeń między labourystami i konserwatystami. Po powrocie Churchilla z Waszyngtonu labouryści oskarżyli go o przyjęcie zobowiązań, które wciągały Wielką Brytanię w niebezpieczeństwa wojennej polityki USA na Dalekim Wschodzie. W odpowiedzi Churchill opublikował dokumenty, z których wynika, że rząd Attlee już dawniej wyraził wobec USA zgodę na przeniesienie wojny na terytorium Chin Ludowych w wypadku zerwania rokowań w Korei. W czasie dyskusji nad „białą księgą” w sprawie programu zbrojeń, doszło wreszcie do „sensacyjnej rebelii” 57 posłów labourystowskich, zwolenników Bevana.

Rząd brytyjski stoi, podobnie jak i rząd francuski, przed zadaniem realizacji programu zbrojeń, podyktowanego przez Waszyngton. Opracowany jeszcze przez poprzedni rząd Attlee program opiewał na 4.700 milionów funtów na okres 3 lat. Już jednak w pierwszym roku budżet ten nie będzie wykonany, w związku z

czym Churchill przewiduje konieczność rozłożenia tego programu nie na trzy a na cztery lata. Jedyna to „nociecha” dla społeczeństwa angielskiego, ale i przeciw temu zaproteściował gorąco były minister obrony Shinwell, wysuwając dość niezwykły argument: „należy go (t.j.n. program zbrojeń) jak najszybciej zakończyć, aby zoszczędzić gospodarce „udności długotrwałych zbrojeń” (!).

Opozycja labourystowska przeciwko przedłożonemu programowi zbrojeń była w gruncie rzeczy tylko formalna. Wyrzucił to Shinwell mówiąc, że nie leżało w zamiarze rządu labourystowskiego, aby program ten „służył do tego, aby zmniejszyć świadczenia socjalne”. Shinwell ani przedtem, ani teraz nie podaje jednak, z jakich źródeł należy czerpać na pokrycie wydatków zbrojeniowych. W rezultacie labouryści wstrzymali się tylko od głosowania nad programem zbrojeń, którzy sami opracowali.

Natomiast dużo huku wywołał fakt, że przeciwko temu programowi głosowało 57 t. zw. bevanistów, wyłamując się z dyscypliny partyjnej. Trzeba zaraz powiedzieć, że opozycja bevanowska dotyczy tylko stonnia a nie zasady zbrojeń atlantyckich. Demagogiczny charakter tej opozycji ulawni londyński korespondent „Paris Presse”, który pisze, że „wielki buntownik” Bevan, zmierza do przeszkodzenia komunistom w przejściu na ich ratunek poglądów skrajnie lewicowych socjalistów i w zdobyciu poważnego odłamu opinii angielskiej.

Wnioski z ostatnich wydarzeń w Paryżu i Londynie są proste. Wobec żywiołowych protestów społeczeństwa przeciwko polityce wojny i zbrojeń, partie rządzące w obu tych krajach zmuszone są do szukania wybiegów i kruczków, aby z jednej strony nie narazić się Waszyngtonowi, a z drugiej strony przez powołanie do życia „opozycji” przełamać kierownictwo nad tą częścią społeczeństwa, które nie zgadza się z polityką rządu, oraz uchronić przed wzrostem wpływu partii komunistycznej w Anglii i Francji.

Tadeusz MAZOWIECKI

OBSERWACJE ROZDROŻA

ROK 1945 odstąpił wielu ludziom możliwie jasno i precyzyjnie, że historia zakreca, że coś się kończy i coś się zaczyna. Praca, której omówieniu poświęcony jest ten artykuł, wynika właśnie z owego kompleksu zjawisk, jakie w uwolnionym od zagłady wojennej świecie stwarzał przygotowany powolnym wzrostem wydarzeń i sytuacji społecznych „zakręt” lat 1945—46. Dotyczy ona myśli społecznej reprezentowanej przez katolików ostatniego okresu i sam jej tytuł niejako przesądza ocenę istniejącego stanu rzeczy.

Książka „Katholische Sozialpolitik am Scheideweg” (Katołicka polityka społeczna na rozdrożu) wydana została w roku 1947 w Wiedniu*). Autorem jej jest austriacki ekonomista i prawnik dr Josef Dobretsberger, profesor uniwersytetu w Grazu**).

Omawiając tę pracę dziś, z perspektywy kilku lat trzeba z góry mocno podkreślić, że różnica czasu obfitującego w wydarzenia daje wielu sprawom inne naświetlenie. Wzbogacając nasze przemyślenia, musi być ona brana pod uwagę. Niemniej jednak trafność i słuszność wielu punktów przeprowadzonej analizy, a także potrzeba konfrontacji założeń, choćby po to, aby widzieć, co w postępowych jak na ówczesne stosunki postulatów okazało się kruche i niedostateczne — uzasadnia zamierzone tu omówienia.

RELIGIA I EKONOMIA

PRACA pisana w przeświadczeniu, że czas współczesny kończy jeden, a zaczyna drugi okres dziejów, musiała sięgnąć do problemów bardziej generalnych. W ich dopiero bowiem naświetleniu analiza istniejącego stanu rzeczy na odcinku reprezentowanej przez katolików myśli społecznej, bardziej obnaża braki czy błędy i łatwiej wskazać może drogi ich przewyższenia.

Toteż Dobretsberger sięga do problemu „wiecznego i czasowego” w chrześcijańskiej etyce społecznej. Analizuje on tu w pierwszym rzędzie wzajemny stosunek między religią a ekonomią. Przeciwstawiając się ujęciu traktującemu religię jako odbicie struktury społecznej swego czasu, jako ideologię klasową, odrzuca również nie rzadko spotykany po stronie katolickiej pogląd, uznający religię za siłę napędową rozwoju historycznego.

Religia i życie społeczne — wskazuje Dobretsberger — nie pozostają do siebie w zwykłym stosunku przyczyny i skutku, ale rozwijają się oddzielnie według własnej logiki, jak dwie różne płaszczyzny wzajemnie się zaszczepiające. Poglądy religijne nie oddziałują bezpośrednio na warunki społeczno-gospodarcze tak jak ideologia polityczna, a na odwrót życie gospodarcze samo rozwiązuje swe problemy. Religia i ekonomia są zatem dwiema względnie samodzielnymi dziedzinami z własnymi strukturami i zasadami rozwoju. Jednakże w

tym wzajemnym stosunku ujawniają się poszczególne punkty zakłócenia i w tych punktach przecinają się obydwa zakresy religii i ekonomii. „W tych polach przekrojowych i tylko tam — pisze Dobretsberger — łączą się poglądy religijne z formami gospodarczymi we wzory idealnego gospodarstwa, które nauka społeczna Kościoła w danym okresie stawia wierzącym jako cel”. Te dwie dziedziny nie przecinają się jednak nigdy w całości. Pozostaje poza tym względnie niezależny zakres dziedziny religijnej i względnie niezależny zakres dziedziny gospodarczej, gdzie nie ma zetknięcia. Historia dostarcza coraz to nowych punktów zetknięcia i w ten sposób pewne problemy stają się z punktu widzenia etyki społecznej aktualne, inne tracą aktualność. Z tego też powodu nie można jednej nauki społecznej np. św. Tomasza z Akwinu — dostosowanej do określonych warunków, w których takie, a nie inne problemy wybiegały na czoło zagadnień, uważać za ponadczasową w sprawach ekonomicznych.

W tym właśnie punkcie przenosi Dobretsberger zagadnienie religii i ekonomii na teren problemu „wiecznego i czasowego” w etyce społecznej. Odmienność płaszczyzny religijnej i płaszczyzny rozwoju gospodarczego oraz rodzaj ich styczności sprawiają, że o ile zasady etyki społecznej nie ulegają zmianie, o tyle konkretne rozwiązania muszą z natury rzeczy być zmienne. Nie oznacza to, jak się zastrzega, relatywizowania etyki społecznej. Jej postawy intelektualne zawarte są w Summie św. Tomasza, ale oznaczają one kierunek i są zaprawą, na którą my nanieść musimy kształt historyczny odpowiadający naszej epoce.

Ta analiza problemu religii i ekonomii wydaje się w wielu punktach trafna, lecz w równym stopniu niewystarczająca. Trafna jako rozróżnienie dwóch płaszczyzn, ich praw i celów działania. Niewystarczająca ponieważ nie rozwiązuje kapitalnego i szczególnie dla nas ważnego zagadnienia oddziaływania światopoglądu na postulat społeczno-gospodarcze i na odwrót wpływu warunków ekonomicznych na postawę światopoglądową człowieka. Rozróżnienie Dobretsbergera ukazuje właściwie punkt widzenia, z którego Kościół jako piastun i apostoł religii katolickiej spogląda na sprawy ekonomiczne i zabiera w nich głos. Nie daje ono nam jednakże dostatecznego wyjaśnienia wielkiego problemu — światopogląd a historia społeczno-gospodarcza. Nie wydaje się bowiem słuszne sądzić, że styczność między światopoglądem a dziedziną społeczno-gospodarczą ogranicza się jedynie do punktów zakłócenia. Problem ten należy do spraw najbardziej trudnych, ale i najbardziej koniecznych do gruntownego przepracowania. U Dobretsbergera nie widać wskaźników rozwiązania tego zagadnienia, choć trudno nie zgodzić się z jego wnioskami zmierzającymi do odnowy postulatów społecznych wysuwanych przez katolików.

Wychodząc z założenia, że katolicyzm nie jest zdeterminowany w kierunku konserwatywnym, a katolicy mają obowiązek czynić swe postulaty świeżymi, Dobretsberger widzi konieczność zasadniczej rewizji wielu poglądów społecznych, uważanych dotąd za właściwe stanowisku katolickiemu.

KOŚCIÓŁ I SPOŁECZEŃSTWA
KATOLICKIE WOBEC
KAPITALIZMU

PODSTAWĄ tej rewizji jest ocena kapitalizmu i stosunku do niego zarówno Kościoła jak poszczególnych ugrupowań katolików.

Dobretsberger w swym spojrzeniu na ustrój kapitalistyczny zajmuje stanowisko krytyczne i negatywne, ale zajmuje je z innych pozycji niż to się często spotyka. Jego krytyka nastawiona jest na przewyższenie kapitalizmu, w żadnym zaś stopniu nie na powrót do przedkapitalistycznych urządzeń społecznych.

Rozpatruje on w głównej mierze zagadnienie stosunku Kościoła do kapitalizmu. Reakcja przeciw nowej epoce, przeciwko zapanowaniu ustroju kapitalistycznego, wyraziła się w dziedzinie duchowej w antyreformacji, w dziedzinie politycznej w absolutyzmie, a w gospodarce — w merkantylizmie. Dobretsberger widzi poważny udział Kościoła w tej antykapitalistycznej kampanii.

Wynikało to w pierwszym rzędzie stąd, iż proces ten był częścią walki obronnej prowadzonej od dwóch stuleci jeszcze przed narodzeniem się kapitalizmu przez Kościół przeciwko zeświecczeniu myśli i życia. Zdobyte ekonomiczne kapitalizmem były bezsporne. Kościół jednakże główną uwagę kierował na niesprawiedliwość, które ten system z sobą przyniósł. Krytyka kapitalizmu przez Kościół nie dotyczy jednakże tylko poszczególnych zagadnień. Etyka chrześcijańska jako całość stoi w przeciwieństwie do świata kapitalistycznego. Duch zysku jako naczelna zasada przeciwstawia się duchowi miłości.

Kościół, podobnie jak do wczesnego kapitalizmu tak i do jego fazy następnej, w której w pełni ujawniły się jaskrawe wypaczenia moralne i niezdolność techniczno-gospodarcza, zajmuje stanowisko krytyczne, negatywne. Podkreślając ten fakt Dobretsberger wskazuje na zachodzące jednak kompromisy, które wystąpiły w praktycznym postępowaniu Kościoła. Były one powodowane z jednej strony koniecznością prowadzenia pracy duszpasterskiej, z drugiej zaś strony troską o zachowanie materialnej pozycji szeregu instytucji kościelnych.

Społeczeństwa katolickie i poszczególne ugrupowania polityczne katolików cechuje analogiczne nastawienie w sprawach zasadniczych wobec kapitalizmu. Katolicy wyczuwali w kapitalizmie istotną siłę odciągającą od Kościoła, siłę zeświecczenia. Z tego faktu wyciągali oni jednak błędny wniosek o konieczności powrotu do stosunków przedkapitalistycznych. Dlatego też wiazali się z tymi grupami społecznymi, które od strony ekonomicznej były zagrożone przez kapitalizm. Stąd właśnie wywodzi się w reprezentowanej przez katolików tego okresu nauce społecznej kierunek drobnomieszczański i agrarystyczny. Jest rzeczą zrozumiałą, że w okresie kapitalizmu, który wystartował z hasłami mniej lub więcej antyreligijnymi, niebezpieczeństwa natury duchowej wycisnąć musiały istotny wpływ na stosunek do tego ustroju ugrupowań politycznych rekrutujących się spośród katolików.

Ale ważne jest przede wszystkim to, co te ugrupowania przeciwstawiły ustrojowi kapitalistycznemu, czy jaką drogą pragnęły jego błędy przewyższyć. Syntetyczna uwaga Dobretsbergera jest tu druzgocąca

„Katolicy XIX w., przynajmniej do roku 1891, z wyjątkiem krajów niekatolickich jak Prusy i Anglia, stali po stronie dynastii przeciwko gospodarce wolnokonkurencyjnej, po stronie warsztatu ręcznego przeciwko przemysłowi. Byli oni antykapitalistyczni i antyburżuazyjni, ale nie tak jak socjaliści ze spojrzeniem skierowanym w przyszłość, lecz w przeszłość. Bronili reszty przeżytego porządku, z którym czuli się związani i w ten sposób nie dostrzegali wcale bieżącego zadania, aby współdziałać w sposób nowy w kształtowaniu przyszłości”.

To nastawienie utrzymuje się w dużym stopniu później. Dobretsberger analizując kierunki myśli społecznej wśród katolików na przestrzeni ostatniego stulecia wyróżnia trzy zasadnicze typy. Pierwszy nazywa katolicką romantyką w nauce społecznej. Jest to nastawienie upatrujące rozwiązanie problemów społecznych w nawrocie do stosunków feudalnych. Politycznym jego wyrazem jest szlachecko-arystokratyczna baza społeczna, ekonomicznym — niechęć wobec uprzemysłowienia i reform strukturalnych w rolnictwie.

Kierunek drugi reprezentuje idea chrześcijańskiej demokracji i solidaryzmu. Powstaje ona z poszukiwania wyjścia z istniejącego stanu rzeczy. Droga naprawy ustroju kapitalistycznego prowadzić ma przez politykę społeczną, oddziaływającą hamująco i niwelującą na istniejące wypaczenia.

Trzeci wreszcie kierunek stanowią nastawienia faszystowskie, które upatrują wyjście z niebezpieczeństw kryzysów i zła istniejącego w ustroju kapitalistycznym w rządach „silnej ręki” wprzagniętych w służbę katolicyzmu.

Dobretsberger dokonuje tu szczegółowego przeglądu wszelkich odcieni ugrupowań społeczno-politycznych, w jakich skupiali się katolicy na przestrzeni przeszło półwiecza. Od lewa biorąc będą to próby socjalistyczne, w których jednakże tkwiło wiele elementów owej romantyki społecznej znowu skierowujących orientację na warstwy średnie. Dalej „Sillon”; w centrum znajdzie się tu chrześcijańska demokracja, trudząca się nad niwelowaniem jaskrawych wypaczeń ustroju kapitalistycznego, ale pozbawiona widzenia perspektywy jego końca i sił, które ten koniec przyniosą. Po stronie zaś prawej z jednej strony będą to ugrupowania widzące uzdrowienie stosunków społecznych w zahamowaniu rozbudowy przemysłowej i pewnego rodzaju współczesnym patriarchalnym fe-

odalizmie, z drugiej zaś strony orientacje „silnej ręki” jak faszystowska „Action Francaise”. Inny charakter, nie ściśle polityczny, lecz społeczny, ma orientacja wskazująca, że rolą katolików jest wyłącznie Caritas, niesienie indywidualnej pomocy, a nie kształtowanie urządzeń społecznych.

Możemy tu pokrótce zanotować zasadnicze „grzechy główne”, niejako typy jednostronności, zaniedbania i błędów, które czytającego taki przegląd uderzają. Są to już oczywiście wnioski własne, niemniej jednak przegląd Dobretsbergera znakomicie ułatwia ich dostrzeżenie i podsumowanie. A więc:

1) pomieszanie religii i polityki prowadzące do sakralnego traktowania polityki lub politycznego traktowania religii. Błąd ten ujawnia się niezależnie od tego, czy postulowane rozwiązania społeczne idą w danym okresie z nurtem postępu (Sillon), czy wstecznictwa społecznego (Action Francaise), ale w zależności od stopnia dojrzałości w rozumieniu katolicyzmu. Błąd ten posiada też dwa ekstrema: pierwszy występuje jako apostołstwo drogą przymusu politycznego, drugi polega na traktowaniu katolicyzmu jako narzędzia do osiągnięcia pewnych celów politycznych. Jego zaś przeciwieństwem — także błędem — jest przecięcie wszelkich powiązań między światopoglądem a działalnością polityczną. W analizowanym przez Dobretsbergera okresie w różnym oczywiście stopniu i zasięgu, wszystkie te rodzaje błędów pojawiają się wśród działalności politycznej katolików.

2) Obrona interesów klasowych pod osłoną światopoglądu (zwolennicy powrotu do feudalizmu) lub kulturowanie złudzeń co do możliwości skutecznego zatuszowania klasowej różnicy interesów przy politycznym zjednoczeniu na zasadzie wspólności światopoglądu (solidaryzm).

3) Statyczność: ciężenia konserwatywne w dziedzinie gospodarczej i nieumiejętność przewidywania rozwoju historycznego.

4) Obcość lub patriarchalny stosunek wobec aspiracji politycznych proletariatu lub co najwyżej zacieśnianie jego walki politycznej do problemów poprawy bytu.

Wróćmy jednak do książki o rozdrożu myśli społecznej katolików. Analiza ugrupowań politycznych doprowadza Dobretsbergera do roku 1946. Wiąże on wiele nadziei z ówczesnym uradykalnieniem się partii politycznych grupujących katolików w krajach zachodniej Europy. Tru-

(Dokończenie na str. 4)

Anatoliusz JUREN

Do wyjściu z katedry

Historii nie wstrzymać w biegu. Z ulic zmartwychstałych
Unoszę ciężar wieków, cięższy o portal katedry.
Cięższy o kunszt murarski Goleniowskiego, Wodary,
Cięższy o zapal dłoni, wznoszących gmach niepodległej.

Urywek prozą

...bo Sprawa jest największą ze Spraw.
Aby córeczka moja mogła urodzić się w słonecznym kraju, gdzie słowo „wojna” będzie zdeptane i wymazane ze słownika. Aby synek Twój maleńki, którego z taką dumą obwozisz po Łazienkach czy Plantach, pod słowem „bomba” rozumiał li tylko lśniącą choinkową ozdobę lub uspaniałą przysmak z czekolady. Aby skośnooki Koreańczyk, brunatne Arabiutko czy Murzynek czarny, nie mogli znaleźć określeń na wytlumaczenie słowa „głód”...

W imię tej Sprawy stajemy.

*) Josef Dobretsberger „Katholische Sozialpolitik am Scheideweg” Ulrich Moser Verlag Graz — Wien 1947.

**) Josef Dobretsberger jest jednym z wybitnych przedstawicieli nauk społecznych w Austrii. Uczeń znanego teoretyka prawa H. Kelsena jest J. Dobretsberger od wielu lat profesorem Uniwersytetu w Grazu. Przez pewien czas był on rektorem tej uczelni. W swojej działalności łączy Prof. Dobretsberger pracę naukową z praktyką społeczną-polityczną, co daje jego opracowaniom tę cechę, że potrafi on harmonizować szersze spojrzenie myślicielela z dostrzeżeniem realnych potrzeb społecznych. Przed wojną był Prof. Dobretsberger członkiem rządu austriackiego z którego jednakże przed Anshlussem ustąpił. Obecnie jest on jednym z gorących przeciwników zbliżenia między Wschodem i Zachodem Europy, stając czynnie w szereżach ludzi walczących przeciw wojnie. Był on uczestnikiem Światowego Kongresu Pokoju w Warszawie, a ostatnio jest członkiem Międzynarodowego Komitetu organizującego Konferencję ekonomiczną w Moskwie.

OBSERWACJE ROZDROŻA

dno winić autora, że jego przewidywania rzeczywistość późniejsza zaliczyła do rzędu pomyłek. Można jednak zarzucić mu, że nie dość głęboko wyciągał wnioski z analizy poprzedniego okresu. W każdym razie warto jest szukać głębszych przyczyn tej pomyłki. Wydaje się, że to, co zostało poprzednio określone jako „grzechy główne”, jako błędy typowe, jest tu w wielu punktach trafnym wskaźnikiem.

TRZY HISTORYCZNE ROZSTRZYGNIECIA

SZUKAJĄC właściwego stosunku chrześcijan do tworzącego się nowego świata, Dobretsberger sięga w przeszłość. Chodzi mu jednak nie tylko o program polityczny, który należałoby postulować, lecz o ogólny, można powiedzieć wewnętrzny stosunek żyjących religijnym życiem Kościoła społeczności chrześcijańskiej do otaczającego je świata, rozdartego walką. Ze jednak nie jest rzeczą chrześcijan przyglądać się z boku zmaganiom innych, jeśli jest w tych zmaganiach walka o słuszną sprawę, że — dalej — ów stosunek chrześcijan do pozostałego świata nie przychodzi pewnego dnia, ale kształtuje się co dzień, co godzina w życiu — jest naszym obowiązkiem ten problem rozwiązywać, lub może — żeby powiedzieć ogólniej — pracą intelektu i czynem służyć jego rozwiązywaniu.

Ucieczka od świata jest postawą właściwą pierwszym gminom chrześcijańskim, które w istniejącym porządku społecznym nie znajdują odbicia żadnego ze swych ideałów. Nie chodzi tu jednak o raz na zawsze przyjętą zasadę nieobecności, lecz o skupienie sił przed odegraniem czynnej roli w przetwarzaniu historii świata.

Przenikanie świata — jest idea chrześcijańskiego średniowiecza. Życie doczesne powinno być bez reszty, najbardziej bezpośrednio przeniknięte duchem kościelnym, religijnym — to jest koncepcja człowieka średniowiecznego.

Odpowiadając okresowi nowoczesnemu postawa „zeświecczenia”*) jest odwrotność od tej koncepcji. Podbudowuje ją nowy układ stosunków społecznych, a ideologiczny jej charakter wykształca humanizm i reformacja. Dobretsberger wykazuje, że postawa ta choć wyrosła na obcym katolicyzmowi gruncie, przeszczepia się na jego teren w formie modernizmu, a w zagadnieniach społecznych w postaci katolicyzmu liberalizmu (Adolf Weber). Rolę etyki ogranicza się w tej postawie do problemów wnętrza duszy ludzkiej, system zaś społeczno-gospodarczy rozwija się według naturalnego, wolnego rozwoju, którego prawa dzięki temu podniesione zostają niejako do rzędu zasad moralnych. To też postawa ta prowadzi na tym odcinku do rezygnacji ze świadomego przekształcania urzędów społecznych. W tej dziedzinie rozstrzyga wolna gra sił, a rozwiązanie to przyjmuje się za właściwe, naturalne.

Dobretsberger analizując te trzy historyczne rozstrzygnięcia widzi zasadnicze różnice zachodzące między nimi nie tylko co do jakości rozwiązań, lecz także co do zakresu, w jakim obejmowały one całość społeczeństwa chrześcijańskiego w danej epoce. Patrząc z tego właśnie punktu widzenia można stwierdzić, że ostatni z przedstawionych przez Dobretsbergera typów: postawa zeświecczenia — jest w granicach nowożytnej społeczności katolickiej postawą peryferyczną. Można stwierdzić jednakże, że przyjmowała się ona szerzej w podświadomości, pogłębiając rozdźwięk między wyznawanym światopoglądem a praktycznym biegiem życia. Daleka od chrześcijańskiego widzenia obowiązków człowieka i odrzucona przez Kościół nie może być ona wzorem, na którym budować by można przyszłość. Pozostaje więc zastanowić się, czy pozostałe dwie postawy chrześcijańskie wobec historii mają dziś dla nas wartość wzoru.

Autor książki o rozdrożu myśli społecznej katolików nie daje tu bezpośredniej odpowiedzi. Ton jego pracy wskazuje jednak, że odpowiedź tę widzi. Nie w powtórzeniu historii, w powrocie do starych wzorów, lecz w wyciągnięciu z nich tego, co w warunkach współczesnych może być właściwe i twórcze. Zastępuje na podkreślenie to nie ubiegające się o wziewną receptę, lecz pełne mozolnego trudu wnioskowania stanowisko.

Co zatem w wzorami? Słusznie czyni Dobretsberger, że nie wyciąga ich wprost. Trudno jest dziś przesądzać o tym, jak ukształtuje się ów najbardziej wewnętrzny stosunek żyjących życiem religijnym Kościoła społeczności chrześcijańskiej do otaczającego je świata, rozdartego walką. Ze jednak nie jest rzeczą chrześcijan przyglądać się z boku zmaganiom innych, jeśli jest w tych zmaganiach walka o słuszną sprawę, że — dalej — ów stosunek chrześcijan do pozostałego świata nie przychodzi pewnego dnia, ale kształtuje się co dzień, co godzina w życiu — jest naszym obowiązkiem ten problem rozwiązywać, lub może — żeby powiedzieć ogólniej — pracą intelektu i czynem służyć jego rozwiązywaniu.

Nje w tym artykule miejsce, aby pokusić się o wstępne precyzowanie tego rozwiązania. Ale myślę, że i Pawłowe zbieranie sił wewnętrznych przy jednoczesnym wchodzeniu na Areopag Ateński czy do domów niewolników, i Grzegorzowe „Omnia restaurare in Christo” po to, aby oczyścić życie Kościoła i tym silniej od wewnątrz promieniować na życie świata — jest wzorem danym nam przez historię, z którego dziś wycią-

(Dokończenie ze str. 3)

gać trzeba wnioski odpowiadające potrzebom i warunkom naszego czasu. Przykład życia, postawa oparta nie na odgradzaniu się od trosk i problemów świata, lecz zawsze idąca z wyciągniętą ręką ku wszystkiemu co dobre, skądkolwiek by to dobro nie pochodziło, ofiarą w koleństwie z niewierzającymi praca nad wspólnym dobrem ziemskim i coraz silniejsze widzenie zobowiązującego charakteru Boskiego zaproszenia do życia w Jego Królestwie — to wszystko elementy tworzywa nowego wzoru. Trudno czynić zobowiązujące zapowiedzi, można tylko wierzyć, że siła naszego zrozumienia będzie silniejsza niż siła obojętności, że obowiązek tworzenia tego wzoru przeważa trudności i błędy. Niech tylko nikt nie sądzi, że przyjdzie on zniechęca. Tworzymy go co dzień. W Kościele i w życiu świata.

ZALOŻENIA ZMIANY

PROF. DOBRETSBERGER sięga swą analizą daleko w przeszłość i dokonując szczegółowego rozrachunku reprezentowanej przez katolików myśli społecznej kreśli także stanowisko pozytywne, które jego zdaniem w zakresie zagadnień społeczno-gospodarczych należałoby postulować.

We wstępie do swej książki pisze on, że przemysł, którego dokonania prowadzą go do postawienia wniosku o daleko idącym zbliżeniu społecznej idei chrześcijańskiej i idei socjalistycznej. W zakresie problematyki gospodarczej i politycznej

wspólnota dążeń sięga, jego zdaniem, dalej, niż sądzono dotychczas, natomiast w zakresie spraw kultury drogi się rozdzielają. Jednakże — dodaje on — przy współistnieniu odmiennych światopoglądów zachodzić będzie tym mniej tarć, im obydwa te stanowiska będą mniej odległe i skłócone w sprawach społeczno-gospodarczych.

Słuszność tego stwierdzenia wydaje się oczywista. W zakresie postulatów społeczno-gospodarczych jest Dobretsberger niewątpliwie jednym z uczestników owego procesu zbliżenia. Jego założenia w dużym stopniu sterują w rejony bliskie rozwiązaniom socjalistycznym, nie są jednakże nimi.

Omawiając pokrótce postulowane przez Dobretsbergera założenia społeczno-gospodarcze trzeba przypomnieć ów punkt obserwacyjny, z którego w chwili pisania książki autor patrzył na rzeczywistość społeczno-gospodarczą. Rok 1946 jest rokiem wzrostu nadziei pokładanych nie tylko w chrześcijańskich demokracjach zachodnich, lecz także w socjalizmie ewolucyjnym Labour Parthy. Lata następne obydwie te nadzieje rozwiewają.

Dobretsberger w swej książce ulega tym nadziejom. Nie chce przez to powiedzieć, że do stwierdzenia dużej zbieżności z socjalizmem doprowadza autora książki „O rozdrożu” chwilowa koniunktura a nie głęboko przemyślana analiza rzeczywistości społecznej. Tym bardziej zaś nie chce powiedzieć, że załamanie się tej koniunktury uwstecniło jakoś poglądy wiedeńskiego uczonego. O ile mi wiadomo, rzecz ma się przeciwnie. Chęć natomiast podkreślić, że forma owego zbliżenia, jaką widział

wówczas, była uwarunkowana tym punktem obserwacji.

Jest więc Dobretsberger w ukazanych w swej książce założeniach zwolennikiem rozwiązań zbliżających się do socjalizmu, lecz niesocjalistycznych. W podstawowej dla problematyki ustroju społeczno-gospodarczego kwestii własności zajmuje stanowisko pośrednie. Jest zwolennikiem tzw. gospodarki kierowanej. Jako ekonomista przeciwstawia się on rozpowszechnionemu wśród katolickich myślicieli społecznym poglądom, jakoby rozwiązanie zagadnienia własności leżało w jej rozdrobieniu. Problemem zasadniczym jest zapewnienie realizacji obowiązków społecznych wynikających z posiadania własności. Tę rolę spełnić ma gospodarka kierowana, w której mieszałyby się elementy społeczne i prywatno-własnościowe w zależności od wypełnienia obowiązków na rzecz dobra ogólnego. Zbliża się więc Dobretsberger do socjalizmu odrywając z prawa własności prywatnej znaną nienaruszalności i przeciwstawiając się antyekonomicznym założeniom rozdrobienia, ale oddala się od niego wtedy, gdy nie dostrzeży, że tak ujęty system gospodarczy nie rozwiązuje zagadnienia powszechnego udziału we władaniu dobrami materialnymi, a ponadto pozostawia otwartą możliwość powrotu do dawnego.

Podobnie rzecz się ma w kwestii robotniczej. Dobretsberger widzi nie-realność patriarchalnego kierunku, gdzie rzeczywistnienie aspiracji politycznych i ekonomicznych proletariatu zamyka się w wytworzeniu ojcowskiego stosunku między pracodawcą-przedsiębiorcą, a pracownikiem-proletariuszem. Ale gdy dostrzeże słusność walki samych robotników w związkach zawodowych, rozdziela problem ekonomicznej poprawy bytu od politycznej kwestii zdobycia władzy.

Artykuł niniejszy nie jest polemiką. Zresztą książka Dobretsbergera tylko w pewnych punktach prowadzi do polemiki. Toteż będąc w tym właśnie punkcie, można pomijając dalsze kwestie szczegółowe sprzecyzować na użytek tego artykułu pewien ogólny pogląd na postulowane przez Prof. Dobretsbergera założenia i zmiany. Są one niewystarczające i połowiczne, ale niewątpliwie w chwili, gdy były dokonywane, wyrąbywały kierunek. Tę zresztą rolę wyznaczył im autor.

SŁOWO KONCOWE

TSIĄŻKA omawiająca rozdroże myśli społecznej katolików ujawnia szeroki wachlarz problemów, przed których rozwiązywaniem stojemy. I choć na jedne z nich mamy odpowiedź już jasno zarzysowaną, na inne nie potrafimy odpowiedzieć — rozwiązywanie ich wszystkich jest ciągle zadaniem. Sądzic można, że konfrontacja tamtych obserwacji rozdroża z naszymi obserwacjami jego przezwycięzania pomaga w realizowaniu tych zadań.

Tak jak wtedy na „zakręcie” lat 1945 — 46 widzieć było można drogi rozstające historii, tak i dziś widzieć można — i widzi się o doświadczenia tych lat wyraźniej — kierunek przemian przebiegających przez świat.

Tak jak wtedy dostrzegać było można rozdroże myśli społecznej katolików — tak i dziś można dostrzec — i dostrzeżać się z dokładniejszym widzeniem błędów i pozytywów — obok obojętności i konserwalizmu — niepokój twórczego poszukiwania i krystalizujące się drogi społecznie postępowych rozstrzygnięć. I wreszcie tak jak wtedy i tak jak zawsze potrzeba było człowiekowi odczuwania i rozumienia swego nadprzyrodzonego powołania w zgodzie ze świadomością swych ziemskich obowiązków, tak i dziś stoi przed nami potrzeba nadawania nowego wiaru zgodności tych spraw.

Tadeusz Mazowiecki

NOTKI KULTURALNE

W ZSRR ukazał się w br. 2-krotnie więcej utworów pisarzy krajów słowiańskich niż w roku ubiegłym. W 1951 r. ukazały się w masowych nakładach dzieła Prusa, Sienkiewicza, Orkana i Kononickiej oraz m. in. trzy ostatnie tomu zbioru dzieł Mickiewicza i tom dzieł wybranych współczesnych pisarzy polskich — Boguszelewskiej i Kornackiego. (z)

IV-tu Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Locarno (Szwajcaria) odbędzie się w dniach 3—13 lipca b r. Specjalny nacisk położony będzie na wyświetlanie filmów szkolnych i młodzieżowych. (a)

Egipt produkuje rocznie około 100 filmów, które cieszą się wielkim powodzeniem w całym świecie arabskim a zwłaszcza w Afryce Północnej, na Środkowym Wschodzie, w Iraku, w Indiach i w Pakistanie. (a)

W Chinach Ludowych przygotowuje się zbiorowe wydanie pism wybitnego pisarza chińskiego Li-Sina, o którym Mao-Tse-Tung powiedział, że jest uosobieniem sił ludowych, które za pośrednictwem jego dzieł postawiły nieprzyjacielowi opór w obronie własnej kultury narodowej. (x)

Nakładem wydawnictwa literatury pięknej w Wyszehradzie zaczęto się ukazywać pisma George Sand. (x)

W 1951 r. wudano na Węgrzech na rozwój szkolnictwa ponad 250 mln. forintów. Podczas gdy w r. 1937/38 znajdowało się na Węgrzech 12 wyższych uczelni, do których uczęszczało ok. 12 tys. osób, w bieżącym roku jest już 20 uczelni, w których kształcą się ok. 40 tys. studentów. Przeszło dwukrotnie wzrosła w porównaniu z rokiem 1937 liczba uczniów szkół średnich. (z)

W Tiranie podpisano umowę o współpracy kulturalnej między Albanią i Węgrami. (z)

Instytut Języka przy Bułgarskiej Akademii Nauk rozpoczął opracowanie słownika polsko-bułgarskiego. (z)

W Moskwie otwarta została wystawa bułgarskiej sztuki ludowej. (z)

W ramach chchodu drugiej rocznicy układu radziecko-chińskiego od 10 do 16.11 w wielu prowincjach Chin zorganizowano festiwale filmów radzieckich. (z)

W Moskwie odbyła się specjalna sesja naukowa poświęcona Mendelejewowi. W tych dniach minęła 45 rocznica jego zgonu. (z)

Nakładem wydawnictwa „Sowiet-skiej Pisatel” ukazał się w r. 1952 7-krotnie więcej książek niż w r. 1950. Wśród nowych pozycji wiele poświęconych będzie wielkim budcwiom ZSRR. (z)

W Sofii otwarty zostanie wkrótce Instytut Nauk Ekonomicznych z wydziałami: planowo - statystycznym, przemysłowo - transportowym, handlowym i finansowym. (z)

W roku 1951 zakończono w Bułgarii budowę 110 nowych szkół. Od chwili wyzwolenia zbudowano i wyremontowano 754 szkoły. (z)

W Sofii otwarty Państwową Galerię Sztuki, która zawiera obrazy i rzeźby czołowych artystów bułgarskich. (z)

W ramach wymiany radiowej Polska - węgierskiej radio węgierskie zorganizowało Tuzdzień Muzyki Polskiej. Wzięt w nim udział Jan Krenz. (z)

W Bukareszcie obradowało plenum Zw. Kompozytorów Plenum podkreśliło poważne osiągnięcia muzyki rumuńskiej w okresie powojennym a jednocześnie wskazało na braki: niewystarczająca ilość cper i muzyki halletowej oraz przejawy formalizmu i kosmopolityzmu. (z)

W Kijowie otwarta została wystawa plakatu polskiego. (z)

Na scenie ukraińskiego teatru im I. Franka wystawiona zostanie wkrótce sztuka A Tarna „Zwykła Sprawa”. (z)

Doroczny Festiwal Filmowy w Cannes odbędzie się w czasie od 23.5.52. (z)

nia do 10 maja. Równocześnie odbędzie się wystawa plakatów filmowych która obejmie plakaty filmowe ze wszystkich krajów biorących udział w festiwalu. (a)

Na Węgrzech znajduje się obecnie ponad 80 instytucji naukowo-badawczych. Przed wojną było na Węgrzech zaledwie parę placówek tego rodzaju. (z)

W roku 1951 produkowano we Francji 111 filmów pełnometrażowych. Z tego 97 ukończono Produkcje pozostałych przerwano z powodu braku odpowiednich środków finansowych. (a)

W związku z 100 rocznicą śmierci Gogola na ekranach kin radzieckich wyświetlany jest nowy film rysunkowy „Noc wigilijna” oparty na powieści Gogola pod tym samym tytułem. Wkrótce wejdzie na ekran kolorowy film dokumentarny pt. „Gogol”. (n)

W tych dniach odbył się egzamin bińcowe w szkole dziennikarskiej przy węgierskim ministerstwie kultury. Szkole ukończyło 86 osób. (n)

W Pradze ukazał się pierwszy numer tygodnika „Nowiny literackie” — organu Związku Pisarzy CSR. Naczelnym redaktorem jest wybitny poeta František Branislav. (n)

W stolicy Ormiańskiej SRR — Erywaniu prowadzone są prace przy budowie nowego gmachu największego w republice muzeum — „Matenadaran”. W muzeum zebrano m.in. ponad 10 tys. niezwykle rzadkich rękopisów w tej liczbie wiele prac naukowych uczonych starożytnych różnych narodowości. (z)

Na ekranie kin radzieckich wszedł nowy film chiński „Syn stepu”, przedstawiający walkę Chińskiej Armii Ludowej i narodu mongolskiego z kuomintangowcami. Akcja filmu dzieje się w 1947 r. (z)

Wielkim powodzeniem cieszyła się w Liège mieszcząca się w Pałacu Sztuki wystawa obrazująca osiągnięcia ekonomiczne i kulturalne Polski oraz polską sztukę ludową. (z)

Jan POGORSKI

KARIERA ALBERTA KESSELRINGA

9 maja 1945, w małym bawarskim miasteczku, żołnierze VII. ej armii amerykańskiej zatrzymali starszego, krępego pana, w błękitno-stalowym mundurze Luftwaffe. Był to feldmarszałek Albert Kesselring, Naczelny Dowódca Frontu „Południe”. Sztab niemiecki ścignął go niemal w przeddzień kapitulacji dla organizacji ostatniego bastionu hitlerowskiej obrony jaką miała być osławiona reduta bawarsko-austriacka. Wzięty do niewoli, Kesselring nie wierzył w kapitulację Niemiec i nie chciał się rozstać ze swą buławą marszałkowską ozdobioną aż czterema swastykami.

Wówczas zdawało się światu, że kurtyna zapadła po ostatnim akcie dramatu, którego sceną była cała Europa, a centralną postacią trwałymi szaleniec mający na swe rozkazach dziesiątki posłusznych, mniej lub więcej okrutnych, oprawców. Jednym z nich był właśnie Albert Kesselring i zdawało się też, że po tym akcie ostatnim może nastąpić dla Kesselringa już tylko krótki epilog, taki sam jakim była dla jego towarzyszy — Norymberga.

Zdawało się. Wierzono, że tak będzie. Spodziewały się dnia kary wdowy i matki dziesiątków tysięcy patriotów włoskich rozstrzelanych z rozkazu feldmarszałka. Czekały okopane mury kilkudziesięciu wiosek spalonych w Emili, w Piemencie i Litorze. Aż wreszcie w marcu 1947 r. w Wenecji odbył się proces „zbrodniarza wojennego — feldmarszałka Kesselringa”.

A był to dziwny proces. Proces, w którym oskarżycielami byli włoscy podkomendni marszałka Alexandra, tego samego, który oświadczył, że „dziwi go sam fakt procesu Kesselringa, który przecież był zawsze lojalnym przeciwnikiem moich wojsk...”

Proces, w którym nie przesłuchano bodaj ani jednego świadka włoskiego, proces, w którym nie mieli prawa wstępu na salę sądową, a który przecież toczył się na ziemi włoskiej, w Wenecji, w tym samym mieście, które tylekroć razy w ciągu ostatnich wieków zrywało się do walki przeciwko niemiecko-austriackiej przemocy.

Proces, w którym często nie było wiadomo czy chodzi o ustalenie ogromu winy podsądnego, czy też o brytyjską interpretację prawa niemieckiego, czy wreszcie o popis krasomówstwa sędziego Stirlinga i sprowadzonego z Norymbergi adwokata niemieckiego, Latermsera.

Zalże dziwny to był proces, gdzie zamiast włoskich ofiar przesłuchiwano oficerów brytyjskiego wywiadu, a który skończył się skazaniem Alberta Kesselringa na karę dożywotniego więzienia w twierdzy wojskowej.

I dopiero dziś, w marcu 1952 roku, nam, tj. nielicznej garstce dziennikarzy i korespondentów, obecnych na procesie, wyrok, który zapadł siedem lat temu w starożytniej sali weneckiej Sapienzii, przestał wydawać się dziwny, a cała procedura procesu — przypadek. Bo, niecały tydzień temu Albert Kesselring opuścił mury

cytadeli w Werl. Po raz pierwszy, aliancka straż więzienna salutowała...

OD KRETY DO „LINII GOTÓW”

KARIERA Kesselringa jest niewątpliwie ciekawa. Lotnik z zawodu i wykształcenia, dowodził pod koniec Drugiej Wojny Światowej, poważnymi ugrupowaniami armii lądowych. Jego flota powietrzna walczyła zwycięsko nad Polską, Belgią, Francją, Jugosławią, Grecją. Jemu również powierzono zdobycie Krety, której opanowanie było jedną z najbardziej ryzykownych, ale i najlepiej przeprowadzonych operacji niemieckich w latach 1939—45.

Od 1942 r. flota powietrzna Kesselringa skoncentrowała się na Sycylii oraz w Południowych Włoszech celem wspierania projektowanego desantu na Malcie. Na drodze dowozów Osi do Afryki stała Malta, ten „naturalny lotnikowiec”, który, niby dotkliwy cień, tkwił w stopie olbrzyma.

Wielokrotnie odkładane zdobycie Malty, zostało wreszcie, po El Alamein, zupełnie zaniechane. Na wiosnę 1943 r. Kesselring, wraz z buławą feldmarszałka otrzymał nominację na głównodowodzącego całego frontu „Południe”. Sytuacja militarna Niemiec nie wyglądała wówczas różowo. Po Stalingradzie, stało się jasne, że Armia Czerwona przechodzi do potężnej ofensywy. Długa rejterada Rommla kończyła się właśnie w Tunisie. Na front wschodni posyłano wciąż nowe dywizje, które trzeba było ściągnąć również z Włoch. Zamiast nich powracały do Italii porządnie przetrzepane, zdemoralizowane oddziały Korpusu Włoskiego ze Wschodu tzw. „C.S.I.R.”-u (= „Corpo Spedizionario Italiano in Russia”).

Należało się spodziewać, że główne uderzenie Sprzymierzonych pójdzie właśnie od południa wedle churchillowskiej recepty o „słabym brzuchu Europy”. Po rozbiciu Afriki-Korps, zajęciu Sycylii, kapitulacji armii włoskiej, sytuacja Niemców w Italii była rzeczywiście krytyczna. A jednak, mimo przewagi lotnictwa alianckiego — co go, jako lotnika musiałoby specjalnie boleć — Kesselring okazał się doskonałym wodzem i twardym przeciwnikiem.

Zrazu, Rommel radził cofnąć się jak najszybciej na tzw. linię Gotów, gdzie na wysokości Spezia — Rimini, Kesselring natomiast zdecydował się na obronę każdej góry, każdej wioski w południowych i centralnych Włoszech. I pomimo nierównych sił, pomimo setek tysięcy partyzantów działających na jego zapleczu, pomimo lądowania angielskiego w Anzio-Nettuno, ustępował jeno krok za krokiem w górę półwyspu.

I kiedy, w rok później, Rommel był już „wykończony” nieudaną obroną Normandii i udziałem w spisku na życie Hitlera, Kesselring wciąż szachował jeszcze przeważając sily marszałka Alexandra na południe od „linii Gotów”.

„PROKONSUL WŁOCH” PRZED SĄDEM

KIEDYSMY przechodzili przez kręte uliczki weneckie, dążąc do sali rozpraw, położonej zaraz przy Ponte Rialto, padał deszcz ze śniegiem. Sama sala Sapienzii, nieco mroczna, nie była bynajmniej przepełniona. Sądowi przewodniczył major Hakewell Smith, ale widać było, że nerwem

obrad jest cywilny sędzia (judge-advocate) Stirling, występujący wedle angielskiego zwyczaju w czarnej todze i fryzowanej, białej peruce.

Czterech angielskich pułkowników i dwóch włoskich assessorów wojskowych dopełniało składu. Jeden z tych włoskich oficerów to syn marszałka Ambrosio, tego samego, który w tajemniczych okolicznościach zginął podczas gorących dni wrześniowych zaraz po kapitulacji Włoch w 1943. Szef sztabu Kesselringa, młody generał Westfall, wychodząc z Głównej Kwatery, oświadczył z cynicznym ubolewaniem, że marszałek, w rozterce, w jakiej go postawili król i rząd Badoglio, nie mógł przeżyć hańby kapitulacji i odebrał sobie życie. Istotnie znaleziono go później martwego ze śladem 2 kul w potylicy — zaprawdę niezwykły sposób popełniania samobójstwa.

Kiedy dwóch rosyjskich M.P. (Military Police) wprowadza podsądnego, z ławk publiczności włoskiej zrywają się głośnie szeptu: „Assassino! assassino!”

„Morderca” kłania się z lekka sądowi i siada w „boksie” oskarżonych. Przed nim czterech niemieckich adwokatów. Między nimi dr Hans Latermsler, znakomity prawnik, sprowadzony temu parę dni, przez władze brytyjskie, z Norymbergi.

ROZKAZY KESSELRINGA

„Prosecutor” (= prokurator), major Halse, czyta przez parę godzin długą listę wsi spalonych, gospodarstw zrównanych z ziemią, wylicza rozstrzelanych zakładników włoskich, powieszonych partyzantów, wywiezionych Żydów, kobiet i dzieci spalonych żywcem. Ale butny dr Latermsler oponuje:

— Przecież feldmarszałek nie miał nic wspólnego z tymi okrucieństwami wojennymi. Odpowiedzialni za te zbrodnie są miejscowi dowódcy garnizonów, zwłaszcza komendanci formacji SS i Policji Niemieckiej.

— Być może — odpowiada major Halse — ale mamy tu przecież rozkazy samego feldmarszałka zalecające specjalne metody w postępowaniu z powstańcami.

I w głębokiej ciszy prokurator zaczął czytać:

„Zarządzam, aby zostały powzięte jak najsurowsze środki represyjne przeciwko partyzantom. Należy wziąć jak największe ilości zakładników spośród powstańców i ludności cywilnej. W razie napadu ludzie ci powinni natychmiast zostać rozstrzelani. Wieś ma być spalona, a mężczyźni publicznie powieszani”.

Naczelny Dowódca
Albert Kesselring — Feldmarszałek
1 lipca 1944

Kesselring schylił nisko głowę. Na sekundę płomień rozświetlił ciemną salę. To któryś z kolegów-fotografów brał ilustracje do swego reportażu.

Pułkownik Helse czytał dalej: „Z rozkazu Führera, polecam aby wzięci do niewoli partyzanci nie byli traktowani jako jeńcy wojenni, natomiast mają być na miejscu rozstrzelani. Również cywile, którzy im pomagali mają być bezzwłocznie straceni, a przywódcy powieszani publicznie.

Należy pamiętać, aby za każdym razem rozstrzelano więcej niż 10 Włochów za każdego żołnierza niemieckiego zabitego lub ranionego”.

Naczelny Dowódca
Albert Kesselring — Feldmarszałek
26 lipca 1944.

— I jeszcze jeden rozkaz — „Osonię każdego komendanta, który mając złeczone represje wobec powstańców i ludności cywilnej postąpi sobie surowiej niż to przewidują wydane mu rozkazy”.

A. Kesselring — Naczelny Dowódca

— To właśnie nazywa się zachęcać swych podkomendnych do zbrodni (incite people to kill) — stwierdza prokurator.

SĘDZIA STIRLING IRONIZUJE

NA któreś z kolejnych sesji powołano w charakterze świadków niektórych podkomendnych Kesselringa, między innymi także i oficerów policji bezpośrednio odpowiedzialnych za „masakrę ardeatyńską”.

Siedziałem o niecałe 3 metry od feldmarszałka i z ciekawością obserwowałem reakcje na jego twarzą. Kiedy główny „rzeźnik” pułkownik SS Kappler zeznawał, Kesselring zdawał go się nawet nie spostrzegać. Na zapytanie sędziego czy zakładnicy tak okrutnie traceni w Fosach Ardeatyńskich byli winni. Kappler odpowiada, że winnych był tylko znikomy procent.

— A czy winni byli ci Żydzi, których około 50 rozstrzelano wśród zakładników?

— No, nie — pada odpowiedź — byli winni tylko jako Żydzi.

— Jak się to panu podoba, panie feldmarszałku — zwraca się sędzia Stirling do Kesselringa. Ale Kesselring nie odpowiada, Kesselring milczy, wyciąga tylko przed siebie ręce, kształtne, białe ręce i przypatruje się im.

Kiedy wchodził generał Keller, pułkownik SS Maeltzer i każdy z nich kłaniał się najprzód trybunali, później byłemu dowódcy, feldmarszałek nawet nie spojrzął na nich Odklonił się tylko raz, kapitanowi Krummahar, gdy ten wychodził. Kapitan Krummahar stwierdził, że rozstrzeliwał zakładników w okolicy Borgo Ticino, że było to jego obowiązkiem i poczuwał się do pełnej odpowiedzialności.

Kiedy wszedł major Strauch, Kesselring ożywił się na moment, pilnie słuchając jego zeznań. Ale major Strauch opowiadał szeroko jak starał się wykręcić od rozkazów Głównodowodzącego, które zalecały mu rozstrzelanie „wszystkich osób” znajdujących się w rejonie błot Fucacchio...

Głowa feldmarszałka opadała coraz niżej, a na czole pojawiły się grube zmarszczki zniercierpliwienia i bezsilnego gniewu. Ale zaraz podrywa go głos sędziego, który pyta:

— Kto ustalał ilość zakładników mających być rozstrzelanych w odwet za zabicie żołnierzy niemieckich?

— Ja — odpowiada Kesselring — liczba 10 Włochów za jednego żołnierza wydawała mi się znośna.

— Hm... znośna... — mruczy sędzia Stirling. — A jaka była pańska reakcja na wieść o egzekucji w Fosce Ardeatine?

— Odczuwałem silne moralne skrupuły.

— Aha — stwierdza sędzia. I powarza: „silne moralne skrupuły.

— Mogłem przecież spalić całą dzielnicę — rzuca w zniercierpliwieniu Kesselring — ale nie chciałem, aby historia postawiła mnie obok Nerona.

— O... zaraz Nerona... — mówi sędzia, a głos jego dzwicy ostro i nieprzyjemnie. — A czy przypadkiem nie gra pan na lirze, albo na mandolinie?...

PULKOWNIK SCOTLAND WYJAŚNIA

ALE adwokat Latermsler nie uznaje się jeszcze za pobitego. W długich, mozolnie przekładanych na angielski, przemówieniach, stara się podważyć wiarygodność zebranych dowodów. Twierdzi raz po raz, że „feldmarszałek był zmuszony, działał pod naciskiem... nie może być odpowiedzialny za każdego pijaka i złodzieja niemieckiego, znajdującego się wówczas we Włoszech!”

Wówczas prokurator powołuje na świadka pułkownika Scotland'a, oficera wywiadu brytyjskiego, który był komendantem obozu jeńców, wyższych wojskowych niemieckich, w pierwszych miesiącach po wojnie. W tym charakterze, odbierał od Kesselringa pierwsze zeznania.

Po przerwie, zastaliśmy już pułkownika Scotlanda, siedzącego w wysokim fotelu dla świadków. Był to drobny, starszy pan, krótko ostrzyżony, do którego co raz to zwracał się prokurator, przerywając monotonne czytanie długiego raportu.

W pewnym momencie Halse poprosił o wyjaśnienia Chodziło o ustalenie stopnia zależności formacji SS i policji od Naczelnego Dowódcy Frontu. Zwrócił się tedy do Scotlanda ze słowami: „Pan, który dobrze zna schemat wojskowej organizacji Wehrmachtu...”

Ale w tej chwili zerwał się ruchliwy Latermsler i założył protest, twierdząc, że: „wewnętrzna organizacja armii niemieckiej oraz stopień zależności poszczególnych formacji od dowództwa są to rzeczy tajne i skomplikowane. Że orientować się i wyjaśnić cały mechanizm może tylko wyższy oficer niemiecki, członek sztabu lub któregoś z ważnych służb pomocniczych”.

Ku zdumieniu wszystkich, przewodniczący generał Hakewell Smith oraz sędzia Stirling przyznali mu rację.

Zaś prokurator Halse zwrócił swą okrągłą różową dziedzinną twarz w stronę świadka i uśmiechając się pod wielkim czarnym wąsem zapytał:

— Czy służył pan kiedyś w armii niemieckiej?

A „Intelligence officer”, pułkownik J. K. M. sir Alexander Scotland odpowiedział spokojnie:

— Tak jest, służyłem w armii niemieckiej w latach 1942—44.

Latermsler zatrzepotał gwałtownie rękami. Dostojny i surowy Kesselring zerwał się, wydał jakiś zduszony głos i usiadł. Znow wstał i znow usiadł. Po sali przeszedł głośny szmer sensacji, zaterkotały aparaty filmowe, a kilku zniercierpliwionych dziennikarzy pobiegło do kabin telefonicznych.

A z wysokiego krzesła świadek Alexander Scotland wyjaśniał kiedy i jakim drogami udało mu się przez dwa lata grać rolę wyższego oficera w niemieckiej służbie zaopatrzenia (Nachschub).

Być więc może nie było rzeczą przypadkiem, iż on właśnie przyjmował pierwsze zeznania feldmarszałka, a w dwa lata później wzywany był na głównego świadka procesu. Może sensacja, której stał się na jeden wieczór bohaterem, miała przysłonić ów niepełny wyrok skazujący zbrodniczego prokuratora Włoch na dożywotnią twierdź? Twierdże, w której, po pięciu latach całkiem komfortowego życia, wychodził niemal jako bohater, a generałowie brytyjscy piszą do niego entuzjastyczne listy...

(Dokończenie na str. 6)

CZYTAJCIE

„SŁOWO POWSZECHNE”

PRZYŁADEK Północny jest najdalej wysuniętym na północ punktem Europy. Właściwie jest to niewielka wysepka, podobna do innych otaczających Norwegię długim wieńcem siostrzanych wysp, o spiętrzonych, skalistych zboczach, opadających stromo do morza i pokrytych skąpą arktyczną roślinnością.

Osiedla są nieliczne, miasta — bardzo rzadkie, ludzie w nich mieszkający — spokojni, skupieni w sobie, jakby wazący ciszę północy z groźbą burzliwego morza. Z zawodu — przeważnie rybacy i to sławni na całym świecie, znający wody Islandzkie, Grenlandzkie, wyspy Owce i Norweskie tak, jak własną kieszeń, czasem — niezawodni towarzysze polarnych wypraw naukowych Nordenskiöld, Amundsen, Byrda...

Życie tamtych stron skupia się przede wszystkim wokół ryb, połowów, ławic rybnych, setek trawlerów i tysięcy kutrów różnych narodowości, przewijających się wzdłuż przybrzeżnego szlaku na północ, w stronę Przylądka Północnego. Za Przylądkiem Północnym, Nord Capem, rozciąga się aż po Szpicbergen i Nową Ziemię morze Barentsa.

Stynie ono ze swych bogactw rybnych i jakkolwiek dość znacznie oddalone od Kontynentu, przyciąga jednak do siebie całą flotyllę rybackie, które znając dobrze te tereny, łowią dorsze, znacznie większe od bałtyckich, płamiaki, karmazyny, morskie okonie, płastugi Nierzadko zdarza się i zębacz, silna ryba o ostrym uzębieniu, którym bez trudu przegryzie but. Połowy są obfite, trzeba tylko znać miejsca, umieć je wyszukiwać, rozpracować. Do tego celu potrzebna jest nie tylko wiedza teoretyczna, ale przede wszystkim praktyka, dłuższe obycie z lokalnymi warunkami połowowymi i nawigacyjnymi, zwłaszcza że najlepsze łowiska leżą niedaleko wybrzeży Norwegii, grożącej stale we mgle skałami. Trzeba przyzwyczaić się do ciszy polarnej i wiecznie szarego, jakby przesiąkniętego mrokiem dnia.

Zbigniew CZAJKOWSKI

Do tej pory nie spotykano na tamtych wodach polskich rybaków. Raz, kiedyś, przed drugą Wojną Światową, pojawił się polski trawler na morzu Barentsa, ale było to tak dawno, że rozproszyło się w pamięci norweskich rybaków. Dlatego też nie lada zdziwienie u norweskiego pilota, który zwykł przeprowadzać statki od Lofotów fiordami do Harstad, wywołał widok trzech polskich trawlerów, przybyłych prosto z czarnych jeszcze na widnokręgu chmur orkanu, łukającego przez pięć dni i nocy, bez przerwy, o morze Północne i brzegi Zachodniej i Środkowej Norwegii.

Trzy trawlerzy — to nie przypadkowy rejs — to już cała wyprawa, a przebyty orkan i widoczne jego ślady na trawlerach świadczyły, że nawet ta przeszkoda nie powstrzymała polskich rybaków przed zdobyciem morza Barentsa.

Pilot stojąc na mostku kapitańskim przyglądał się z zainteresowaniem Polakom — Czego ci tu szukają? Będą łowić ryby? Rybacy? A czy potrafią?...

Trawlerzy zgrabnie klucząc wśród wysepki i fiordów wpływały do portu w Harstad pierwszej bazy wypadowej na północ.

PRZYGOTOWANIA

OKRES jesienno-zimowy w polskim rybołówstwie dalekomorskim był dotychczas okresem „ogórkowym”. Po intensywnych połowach na morzu Północnym od maja do października, przchodziła pora sztormów i mgieł. Rybacy z morza Północnego przerzucają się więc na inne tereny łowieckie.

Niewątpliwie, ta właśnie okoliczność była główną przyczyną do powzięcia na jednej z porad roboczych w Dalmorze, polskim przedsiębiorstwie połowów dalekomorskich w

POLSKA BANDERA

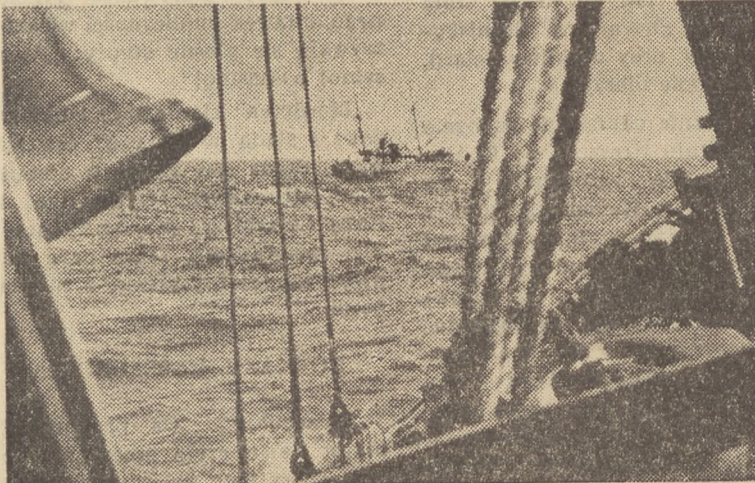
NA PÓLNOĆ
NIE PŁYNIE SIĘ BEZ PRZYGÓD.

Gdyni, śmiałej decyzji wysłania trawlerów na dalekie, gdyż odległe około 2.000 mil morskich tereny łowieckie na morzu Barentsa. Nie należy jednak sugerować się, że decyzja ta była przypadkową. Gdy sięgniemy ręką do Planu Sześcioletniego i otworzymy stronę, na której mówi się o rybołówstwie dalekomorskim, to stwierdzimy, że połowy trawlerami na dalekich morzach przyniosą w szóstym roku Planu przeszło 89 tys. ton ryby. Nie wiemy, czy to dużo, czy mało. Porównajmy więc z wynikami przedwojennymi. Wg. Małego Rocznika Statystycznego (1938) połowy dalekomorskie przynosiły około 10 tys. ton ryby rocznie. Teraz rozumieny doniosłość przedsięwzięcia i rozmach planu rybołówstwa Skala zamierzeń wyraża się jednak nie tylko ilością ton ryby, ale przede wszystkim sprzętem, nowymi trawlerami, nowymi rybakami i wreszcie wiedzą rybacką, która zdobywa się na drodze doświadczenia.

ralno — oświatowym, Świdnickim, tworzyli „sztab” wyprawy, zaakre towany na „flagowym” statku-trawlerze — Juppiterze.

Żalugi trzech trawlerów, to sama młodzież, pełna zapału, ciekawa i żądna przygód, jeszcze niedoświadczona, lecz rokująca jak najlepsze nadzieje, znająca Bałtyk i morze Północne, lecz nie łowiąca jeszcze nigdy poza kołem podbiegunowym.

Wyliczenie składu wyprawy nie byłoby pełne, gdybyśmy pominęli osobę młodego asystenta działu ekonomiki rybołówstwa morskiego z Morskiego Instytutu Rybackiego w Gdyni, mgr. Andrzeja Ropelewskiego, który z ramienia MIR-u towarzyszył wyprawie w charakterze obserwatora naukowego. Miał za zadanie śledzić z punktu widzenia ekonomicznego warunki połowów, badać wpływ Golfstromu na temperaturę morza Barentsa oraz zapoznać się i notować wszelkie zjawiska, które później miały stanowić



Trawlerzy w czasie połowu

foto J. Uklewski

Morze Barentsa? Kto zna je i polskich szyprow lub szturmanów? Okazało się, że na morzu Barentsa był tylko jeden, szypier Wiktor Gorządek, który już z niejednego pieca jadł chleb, a pracując przez dwadzieścia lat na statkach rybackich poznał różne morza i łowiska. Gorządek — to typ kapitałnego rybaka, pełnego wery, humoru, fantazji, sypiącego konceptami na lewo i prawo, wlewającego w serca żalugi życie i ogień, umiejącego nie tylko podniecić i zachęcić do pracy, ale pracę zorganizować. Marny jest los „szczura lądowego”, który niebacznie nasunie się Gorządkowi. Stary szypier tak weźmie go w swe obroty, że nie zostawi na nim suchej nitki. Gorządek za zajęcie wraz ze swą żalugą rybacką na s/t Saturnia pierwszego miejsca w rybackim współzawodnictwie pracy oraz za zasługi, położone w pracy szkoleniowej nad młodymi kadrami, otrzymał w roku 1950 srebrny Krzyż Zasługi oraz zyskał odznakę Przewodnika Pracy.

Któż więc mógłby być bardziej godny i odpowiedzialny od niego do dowodzenia wyprawą trzech trawlerów, wyprawą, której celem było nie tylko łowienie ryb, ale przede wszystkim naukowo-ekonomiczne rozpracowanie nieznanych terenów morza Barentsa, poznanie warunków, w jakich łowi się tam ryby oraz praktyczne przeszkolenie młodych kadr?...

WYPRAWĘ miały tworzyć trzy największe polskie trawlerzy Juppiter, Jowisz i Polesie pod dowództwem dwu starszych, doświadczonych szyprow, Paszkiewicz i Murzy, oraz trzeciego, młodego 25-letniego Zbyszka Dzwonkowskiego. Głównym kierownikiem wyprawy mianowany został szypier Gorządek, który wraz z oficerem kultu

materialny źródłowy do przeprowadzenia analiz i przygotowań do następnych wypraw.

Jak z tego widać, przygotowania były robione celowo i planowo. Praktyka łączyła się z teorią, „nowe” szło za „starym”, rutyna i doświadczenie Gorządków, Paszkiewiczów miały być uzupełnianie młodzieżą i wery Dzwonkowskich. Świadomością odpowiedzialności za wyszkolenie młodych kadr i rozpracowanie nieznanych terenów dodawała tym większego bodźca.

Równolegle do przygotowań taktycznych mechanicy doprowadzali do porządku maszyny, uzupełniano bunkier, ładowano żywność a przede wszystkim wielkie, 85-stopowe włóki szalowe, uzbrojone w wielkie kule — bobiny, które po zarzuceniu sieci do morza toczą się po dnie plosząc rybę a jednocześnie chroniąc sieć przed podarciem o ostre dno.

Wyprawa na odległość około 2.000 mil — to nie frazaska. Liczono się z tym, że rejs w jedną stronę zajmie około 10 dni, badanie łowisk i samo łowienie również dziesięć, droga powrotna tyle samo. Miesiąc na morzu i przeszło cztery tysiące mil morskich poza sobą — to ładny szmat czasu w niepewnych, a raczej w pewnych, burzliwych warunkach, w okolicach, gdzie panuje niemal wieczny mrok.

Ostatnie odprawy, wskazówki, stan ogólnego podniecenia i podenerwowania i nieustępliwe powracająca myśl: „Czy się powiedzie?” — uparcie towarzyszyły w ostatnich godzinach przed odjazdem.

Odjazd nastąpił 29 listopada 1951 roku z Gdyni. Trzy trawlerzy, Juppiter i Jowisz, większe i pod starszym, bardziej doświadczonym dowództwem, i trzeci, mniejszy, młodzieżowy od szypra aż do ostatniego rybaka na pokładzie, Polesie, wyruszyły w daleką wyprawę

DROGA do Nord Capu wiedzie najpierw starym szlakiem hanzeatyckim, a jeszcze poprzednio — Wikingów, tych nieustraszonych żeglarzy, którzy zdawali się rodzić i umierać na swych długich a wąskich łodziach. Bałtyk nie jest przyjemny do żeglugi. Krótka, nierówna fala, raptowne kotłowanie statku i brak ciekawych widoków, nie nastrojają zbyt zachęcająco do „marzeń” i obserwacji morza, żalugi trawlerów znają Bałtyk niemal na pamięć. Ciekawy widok zaczyna się przy brzegach duńskich i przy wejściu do Sundu. Na lewo i na prawo widać łąd, nizinny, zielony krajobraz Dani, poprząkany czerwonymi płamami domów, z prawej zaś strony dymiące miasta Szwecji.

Po wyjściu na morze Północne trawlerzy wzięły kurs na północ. Posuwały się razem w odległości około 30—40 mil od wysokich brzegów Norwegii, które widać było z daleka jako grubą, liliową krechę. Szypier Dzwonkowski notował w książce okrętowej:

„5.12.1951 — Położenie: 63° szer. północnej...“

Nagle silne uderzenie wichru poderwało go i całą żalugę. Rzut oka na barometr: leci na lew, na szyję w dół. Niedobrze. Wiatr Sud/West zaczyna łuc o trawler z coraz większą gwałtownością. Siła wiatru wynosi 9, potem 10, 11... To już nie sztorm, lecz zaczyna dziać się coraz gorzej. Gnane potężnymi podmuchami i falami trawlerzy rozproszyły się. Najmniejsze i najmłodsze żalugę Polesie zostało samo, zdane jedynie na swe własne siły żalugi i młodego szypra. Bliskość skalistych brzegów Norwegii i wicher nieustannie spychający trawler w ich stronę, budzą obawę rzućcenia statku na skały i rozbicia. Krótki namysł szypra i decyzja: — Naprzeciw sztormu, dziobem w sztorm!

Nagle trzask! Jedna z fal, wyższych od Polesia, runęła na sterówkę, łukając w drobny mak grubą na palec szybę i raniąc znajdujących się wewnątrz ludzi. Uszkodzenia wprowadzają nieznaczne, ale zawsze wprowadzają pewien niepokój — co dalej?...

I w takich chwilach zwątpienia odywa się radiotelegraf: „Tu mówi Juppiter... Polesie, czy mnie słyszycie?...”

Niespełna czterdzieści mil od Polesia walczą z orkanem Juppiter i Jowisz. Flotylla rozproszona orkanem łączy się radiem, więź nie jest zerwana.

Pięćdziesiąt godzin walki z orkanem, bez zmruczenia powiek, w ciągłym napięciu i wysiłku fizycznym i psychicznym, to jest dobry „chrzest bojowy”.

Tuż przed Lofotami, małymi wysepkami, które na mapie wyglądają, jak skłaczane pchły na grzbiecie skandynawskiego niedźwiedzia, spadł śnieg. W ten sposób ziemie te przywitały polskich rybaków po przekroczeniu przez nich podbiegunowego koła.

Lofoty — to już teren łowisk rybaków norweskich, teren znany na całym świecie. Stał też zaczyna się droga wzdłuż przybrzeżnego szlaku wśród fiordów, ukrytych zatok, znanych tylko doświadczonym pilotom norweskim, którzy jedni tylko zdolni są polapać się w tym labiryncie orzeź, cieśnin, wysp...

Pilot po raz pierwszy prowadził polskie trawlerzy. Patrzył z zaciekawieniem i podziwem na młode, rozemśniane twarze, które przeszły przez porządną lekcję nawigacji. On pierwszy informuje żalugi o stratach jakie wyrządził orkan na morzu Północnym: podobno zaginęło około dziesięciu statków...

Kariera Alberta Kesselringa

(Dokończenie ze str. 5)

„KIEDY SŁOŃCE WSCHODZI KRWAWO...”

KIEDY miesiąc temu, na zjeździe w Brunzwiku, generał Ramcke, kat Brestu, wszedł na trybunę, pięć tysięcy delegatów związku „Byłych Spadochroniarzy Niemieckich” tzw. popularnie „Zielonych Diabłów” zaintonowało zgodnym chórem „Deutschland, Deutschland über alles!” Wówczas generał Ramcke, wziął olbrzymi bukiet kwiatów i złożył go na jedynym pustym krześle stojącym w łóżu honorowej „Miejscie to — powiedział — należy do feldmarszałka Kesselringa, Naczelnego Dowódcy Frontu Włoskiego, który bezprawnie, dotąd trzymany jest w więzieniu” Ryk „Zielonych Diabłów” zagłuszył dalsze słowa, a po chwili cała sala zaczęła śpiewać wojenny hymn Spadochroniarzy „Kiedy słońce wschodzi krwawo...”

Największy tygodnik w Hamburgu, „Der Stern” o milionowym nakładzie, opublikował niedawno list otwarty marszałka Alexandra wicehrabiego od Tunis and Bizerta (taki tytuł nosi bowiem zwycięzca Rommla):

„Nie wiem jakie fakty i jakie wpływy zdecydowały o wyroku skazującym feldmarszałka Kesselringa. Dziwię się, że tak dzielny i zdolny generał mógł być po wojnie skazany na śmierć wojenną. Ja osobiście, nie mam nic do zarzucenia. Jego wojska prowadziły walkę z nami w sposób wysoce lojalny i rycerski”.

Nie wiem co myślą o tym tysiące sierot i wdów po rozstrzelanych

i storturowanych zakładnikach włoskich i członkach „Włoskiego Ruchu Oporu”. Ciekaw jestem jednak reakcji naszych pism emigracyjnych na tego rodzaju prowokacyjne wystąpienia. Toć nie jest żadną tajemnicą, że pod Cassino, niemieccy spadochroniarze dobljali rannych i jeńców Polaków, pastwiąc się nieraz nad nimi w sposób równie bestialski jak żołnierze Kesselringa nad ludnością włoską Rzymu, Florencji, Mediolanu, Turynu, nad setkami jeńców wojennych i komandosów alianckich.

Więc nic dziwnego, że zbrodniarz wojenny, Kesselring, kat Włoch, uwolniony został równocześnie z katem Ukrainy von Mansteinem. Sztabom agresywnych mocarstw może się przydać jego wiedza wojskowa. Przede wszystkim jednak jest to definitywne ustępstwo na rzecz rozzuchwalonych żołdaków niemieckich, marzących o nowych podbojach i nowych rzeziach.

Uwolnienie Kesselringa nie wiele zmieni w stosunkach aliancko-niemieckich. Jest to jednak jeden policzek więcej dla sprawiedliwości zachodnio-europejskiej. Tej sprawiedliwości, której uwierzyły narody, ale od której dziś odwracają się z niesmakiem i oburzeniem. Bo o przyszłości Europy i jej narodów decydować będą miliony ludzi prostych i prawych, a nie zbrodniarze wojenni jak Kesselring, ani nawet jego mocodawcy, marzący o tym „aby słońce wzeszło krwawo...”

Jan Pogorski

BLIŻEJ ARKTYKU

Pierwszym portem zawinięcia był Harstad, małe miasteczko, leżące na wyspie Hinnoy, na wprost Narviku. Narvik jest dobrze znany w Polsce, nie tylko z walk polskich oddziałów podczas wojny, ale również z tego, że stąd wozili się do Polski szwedzką rudę.

Z Harstadu do Przylądka Północnego jest jeszcze dobre czterysta mil drogi między skalistymi wyrzeźbami Norwegii. Tutaj więc należy poczekać ostatnie uzupełnienia, przede wszystkim doprowadzić trawlerzy do porządku po walce z orkanem, załadować łód, pobrać świeżą wodę.

W Harstadzie przygotowania do skoku na morze Barentsa trwały do 12 grudnia. Przed odjazdem na północ zaokrętowano na trawlerzy po czterech patrosharzy, Norwegów, którzy mieli uczyć naszych młodych rybaków, jak patroszyć się złowione na północy ryby. Głównym pilotem, który miał doprowadzić wyprawę na morze Barentsa i wskazać najlepsze tereny łowiskowe, był stary wyga, rybak i zarazem podróżnik, Albert Eilafsen. Znał on morze Barentsa nie gorzej, niż nasi rybacy swój Bałtyk, poza tym zwiedził krainy podbiegunowe, był przez dwa lata szturmanem u kapitana Byrda oraz prowadził poszukiwania tragicznej wyprawy polarnej, sterowca włoskiego Nobilego.

Drugi z Norwegów, Helge Thorsen, nieraz już zaglądał białej śmierci w oczy. Opowiadał zuchom, jak raz, polując na fokę, zapędził się stateczkiem daleko w lody. Ścisnięty lodowymi górami statek trzasł jak zapałka, Thorsen zaś długo błąkał się po lodowych polach i plynął na krach, zanim dotarł do lądu.

Północ powitała naszych rybaków szarym, gęstym mrokiem, w którym jedynym urozmańceniem są świecące dzień i noc gwiazdy. Właściwie trudno jest określić, kiedy jest na północy dzień, a kiedy noc — jest szaro, bezzębnie szaro, jakby zagniewane słońce skryło się wczesnym wieczorem i nie chciało więcej wyjrzeć.

14 grudnia trawlerzy dotarły do Przylądka Północnego i tam w Honningsvaag, małym miasteczku na południowym wybrzeżu wyspy, wysiedli piloci norwescy. Trawlerzy wyszły na morze Barentsa i zarzuciły pierwsze sieci.

NA ŁOWISKU FINNMARKEN.

— Gdzie łowić? Gdzie najwięcej może być ryb? — są to pytania, które wyrastają przed każdym szyprem, doświadczonym czy młodym, w chwili, gdy ma zdecydować się na obranie miejsca do rzucenia włoka w morze.

Albert Eilafsen po dłuższym namyśle wybrał Finnmarken, łowisko leżące w odległości około 30 mil od wybrzeży Norwegii na wysokości Vardoe, miasteczka między Przylądkiem Północnym a Murmańskim.

Pogoda niezbyt dopisywała, mgła sruła się nad morzem, utrudniając widoczność i grożąc stałe zderzeniem z ostrymi skałami Makkaur i Kjoelnes. Największym jednak nieprzyjacielem trawlerów, ciągnących włoki we mgle, są inne statki rybackie przesuwające się jak okryte widma, wyrastające nagle przed dziobem, u burty, za rufą, ze wszystkich stron. Trawlerów na Finnmarken jest mnóstwo; piloci norwescy z Honningsvaag utrzymywali, że było ich chyba ze dwieście. Dwieście stateczków, uwijających się z kosami po morzu, to nie lada tłum. Trzeba dobrze uważać, aby nie poplątać sieci, albo przez omyleknie nie wplątać na terytorialne wody norweskie. Mijają się obce statki i żaglówki, holenderskie, duńskie, niemieckie. Czasem rozpoznać można pan-

derę obcego trawlera po dźwięku mowy, dochodzącym z mgły. Trawlerzy radzieckie, które również zachodzą na Finnmarken, łowią w tym czasie bardziej na południu, koło Murmańska. Na Finnmarken najczęściej jest trawlerów brytyjskich, przeszło połowa. Z daleka widać zarysy dwóch wielkich jednostek. Szare ich kontury wydają się znajome, lecz z daleka, w polarnym mroku, trudno dostrzec, kim są i co tutaj robią. Dopiero przy zbliżeniu okazują się brytyjskimi kontrtorpedowcami, które pilnują swoje trawlerzy przed ewentualnym „zajściem“ z patrolami norweskimi. Jak na zwołanie wynurza się z mroku trzeci kontrtorpedowiec, tym razem norweski. Zgrabnie omijając stojące trawlerzy, przesuwa się obok angielskich „kuzynów“ badając, czy który z trawlerów nie pogwałcił terytorialnych wód i nie łowi za blisko brzegów. Osobliwy widok kapitalistycznej przyjaźni, podpartej z każdej strony sześcioma łufami dział. Zresztą spór między rybakami angielskimi a rządem norweskim o stałe pogwałcanie wód terytorialnych ciągnie się tak długo, jak długo łowią Anglicy na Finnmarken. Anglicy nie mogą się widocznie przyzwyczaić do tego, że u brzegów Norwegii gospodarzami nie są oni, lecz Norwegowie.

Jupiter pierwszy cisną sfilazowy włók w morską toń. Dzieje się to 14 grudnia o godzinie 9-tej rano.

Szyper Paszkiewicz notuje ten fakt w książce okrętowej, jakby to było wydarzenie co najmniej historyczne.

Dno morskie na Finnmarken jest czyste, bez zaczepów, głębokość morza dochodzi do 300 metrów, więc nie ma obawy, aby sieć się zerwała. Rozpoczyna się żmudna, ciężka praca, niemal bez przerwy, bez wy-



Szyper Zbigniew Dzwonkowski
i Ukiejewski

technienia, przez osiem dni i nocy, które nie różnią się od siebie niczym, tak są podobne i jednostajne. Norwescy patrosharze przystępują do roboty. Polacy, młodzi rybacy podpatrują każdy ruch starszych kolegow. Po kilku robach okazuje się, że nie są wcale gorsi od rutyno-

wanych Norwegów, paru pracują nawet szybciej i sprawniej.

Łowy zakończone zostały w dzień wigilijny. Dziwna jest Wigilia na północy, pod 71° szerokości północnej, z dala od kraju, od swych rodzin. Niejeden wówczas odczuł w sercu coś, co wcale nie jest właściwym odpornym na nadmierny wylew uczuć rybakom.

Powrót odbywał się w przyspieszonym tempie. 25 grudnia znowu Harstad. przyjęcie pilotów norweskich. droga wśród fiordów i upijanych zatok, w których woda zdaje się budzić dopiero pod srubami stateków. To tu, to tam widać większe statki, frachtowce, które zapuściły się w te strony po ruderę z Narviku lub pirvty z Ballangen. Potem Lofoty, znane już, małe, skaczące „pchy“ na grzbiecie niedźwiedzia, morze Grenlandzkie. Północne, Skaggerak. Maszyni pracują równo, załoga z podobną niecierpliwością, z jaką wychodziła w rejs, teraz oczekuje widoku polskiego brzegu lub światła latarni w Rozewiu.

Do Gdyni trawlerzy powrócili na początku stycznia 1952 r. zawiązując do portu w kilkunastu odstępach. Przywiozły z sobą ładunek ryb, złowionych na Finnmarken, ale oprócz tego przywiozły z sobą doświadczenie „polarnych rybaków“.

Trudno zebrać i uporządkować pierwsze wrażenia. O czym wprawdzie mówić, o co się pytać, co jest najważniejsze? Młodzi chłopcy z Po-

lesia z niedowierzaniem i jakby z żalnością spoglądają na pagórki Gdyni, Sopotu i Oliwy, niskie, karłowate w porównaniu do wybrzeży północnych gór, pokrytych śniegiem. Szyper Gorzałdek rozpoczyna opowiadać swe wrażenia. Niewiadomo, gdzie kończy się w jego opowieści rzeczywistość, a gdzie zaczyna fantazja. Mimochodem rzuca zdanie: — „Ale sieci silazowe są do chrzanu! Rosjanie mają mocniejsze, konopne. Takie by się nam przydały...“ — macha ręką, jakby w tej naukowo-praktycznej konsultacji zamykał całą swą obserwację, potem zaś wywijając się od ciekawskich rzuca szybko: — „Dajcie spokój, powiem potem, jak wrócę z Zakopanego...“

W tym zdaniu kryje się niewątpliwie tęsknota za górami Północy. Tęsknota jest starym nawykiem rybaków. Tęsknią za wszystkim, co im przypadło do serca, co stało się częścią ich przeżyć i przęd. Nie wiem, może młody szyper, Zbyszek Dzwonkowski, tęskni nawet za „swym“ orkanem, który हुआł nim przez pięćdziesiąt godzin, może inni młodzi rybacy i patrosharze, „uczniowie“, którzy przeszli „mistrzów“ — Norwegów, też tęsknią za podobną wyprawą, już nie badawczą, ale wyprawą w pełni rybacką, po srebrzystą rybę morza Barentsa.

Z ich słów wywnioskowałem, że mają chęć w ten sposób powiększać bogactwo kraju, wykonać wielki plan rybołówstwa, rozszerzać horyzonty i szlaki polskich trawlerów.

Z opinii fachowców z Dalmoru i naukowców z Morskiego Instytutu Rybackiego wiem, że jeszcze nieraz tam popłyną i popłyną na pewno...

Zbigniew Czajkowski

Franciszek WITOWICKI

Norwegia broni swych praw

DZIWNY to kraj Norwegia. Położona na wschodnim wybrzeżu Półwyspu Skandynawskiego ciągnie się długim pasem od Skagerraku ku północy. Na południu szerokość sięga do 400 km, ale im bardziej na północ tym więcej się zwęża dochodząc miejscami do pasa lądu, którego długość wynosi przeszło 1500 km — nie wliczając w to fiordów, zatok i pomniejszych wklęsłości rzeźby wybrzeżnej — ma niezwykle charakterystyczne ukształtowanie.

O te dalekie i pustynne ziemie, a raczej wody, toczył się międzynarodowy spór między Wielką Brytanią a Norwegią przed Międzynarodowym Trybunałem w Hadze.

Na ławie oskarżonych zasiadła Norwegia a oskarżała ją Anglia. Spór sięga swymi początkami czasów bardzo odległych, bo XVIII wieku. W tym czasie na północnych wodach zaczęli się pojawiać pierwsi rybacy angielscy, lecz na skutek protestu króla Danii i Norwegii (oba te kraje były z sobą złączone unią) Anglia musiała zaprzestać na tych terenach połowów. Przez prawie 300 lat flota brytyjska nie odwleczła tych stron. Dopiero w 1905 r. statki brytyjskie pojawiły się znowu na wodach wschodniego Finnmarku. W dwa lata później wróciły w większej liczbie, wyposażone w nowoczesniejszy sprzęt rybacki. Ludność miejscowa zaczęła się burzyć obawiając się konkurencji rybaków brytyjskich przewidywającej ich doskonałym ekwipunkiem. Techniczny Konflikt zaostriął się, ponieważ połow rybaków stanowił podstawę egzystencji mieszkańców tutejszych terenów.

Rząd norweski wystąpił w obronie swej ludności, określając bardzo wyraźnie zasięg wód terytorialnych, na których zgodnie z prawem międzynarodowym rybołówstwo dozwolone jest jedynie dla krajowców. Mimo to Anglia w dalszym ciągu usiłowała dokonywać połowów na tych terenach, co spowodowało najpierw protesty a później zajmowanie statków angielskich przez norweską policję morską. Z kolei wywołało to sprzeciw brytyjski i tak od roku 1911 wszczął się pomiędzy tymi państwami spór, który z przerwami, spowodowanymi dwiema wojnami światowymi, toczył się aż do września 1949 r. W tym roku Wielka Brytania skierowała go na drogę sądową, wytaczając sprawę przed Trybunałem Haskim.

Anglia twierdziła, że określenie zasięgu norweskich wód terytorialnych ujęte w dekrecie królewskim z 1935 roku, a opierające się na dekretach królów duńskiego z 1812 r. i szwedzkiego z 1869, 1881 i 1889 r., jest sprzeczne z zasadami prawa narodów. W konsekwencji domagała się dostosowania definicji zasięgów norweskich wód terytorialnych do obowiązującego prawa międzynarodowego i zapłaty odszkodowania za zajęcie statków i pozabawienie ich możliwości łowienia ryb.

Sprawa sama przez się miała podwójny aspekt: jeden geograficzno-techniczny: wyznaczenie granic lądowych Norwegii i liczonych od nich 4 mil morskich (7 km 408 m) wód terytorialnych, poza granicą, których zaczyna się morze wolne i bezpańskie, a drugi czysto prawniczy: jakie są zasady prawa międzynarodowego w dziełinie praw państwa do określania zasięgu swych granic w ogóle, a mor-skich w szczególności.

Ta na pozór dość prosta sprawa komplikowała się z powodu specyficznych warunków geograficznych wy-

brzeża norweskiego, szczególnie na północy. Po prostu Trybunał znalazł się w sytuacji, w której zastosowanie klasycznych reguł prawa zwyczajowego nie było możliwe. Wykreślenie 4-milowego pasa wód terytorialnych liczonych w oparciu o ląd stały Półwyspu Skandynawskiego, okazała się fizyczną niemożliwością. Norwegia zastosowała przeto na tym odcinku swych granic system linii prostych, który Wielka Brytania zakwestionowała, zarzucając mu, że zawiera on za dużo „luzu“, że dzięki temu inkorporuje w zasięg obszarów Korony norweskiej, zbyt wielkie przestrzenie morza „wolnego“ i tym samym narusza interesy brytyjskie, nie pozwalając im korzystać z „umniejszonego“ w ten sposób morza „wolnego“. Domagała się, by ukrócono tę ekspansję norweską, a za zatrzymane statki na wodach wielkiego morza, niesłusznie przez Norwegię inkorporowanego, przyznać jej odszkodowanie.

Rozprawa rozpoczęła się dnia 25 września 1951 r. i toczyła się przez 24 dni, co jest w stosunkach haskich niemalże bez precedensu. Ogłoszony wyrok obalał w zupełności wszelkie pretensje Anglii i przyznawał w całości słusność stanowisku Norwegii. Co ciekawsze, że na 12 sędziów zasiadających w sądzie wyrok zapadł 10 głosami, a jedynie dwaj sędziowie: Anglik — Mc Nair i Kanadyjczyk — Read głosowali przeciw. Norwegowie odnieśli pełne zwycięstwo. Sposób zastosowania przez rząd norweski delimitacji strzeły wód terytorialnych uznany został za zgodny z zasadami prawa międzynarodowego, co jako precedens miało znaczenie na przyszłość dla innych państw posiadających podobne ukształtowanie wybrzeża.

Sprawa ta miała jeszcze — poza wymienionymi już dwoma aspektami —

dwa inne, mające szczególnie w dzisiejszych czasach wielkie znaczenie. Pierwszy to aspekt socjalny: wytyczenie zbyt rygorystycznie granic wód terytorialnych pozbawiono by mieszkańców złem północnych możliwości egzystencji. Pretensje wielkiego i silnego mocarstwa, aby zmniejszyć zasięg wód terytorialnych wielokrotnie mniejszego i słabszego państwa, w dodatku gdy chodziło o wręcz w podstawy życiowe pewnej grupy ludności, nadaje temu zarębowi z punktu widzenia społecznego specyficzne znaczenie. Bo wysunięcie pretensji brytyjskich oznacza ni mniej ni więcej jak zajęcie stanowiska, że silniejszy może narzucać słabszemu swą wolę i to w warunkach, w których silniejszy może doskonale egzystować, podczas gdy słabszy musiałby niechybnie zginąć z głodu.

Drugi aspekt, to sprawa, nazwalibyśmy ją „przywołaności publicznej“. Rząd angielski załaniał się tym, że norweski system delimitacyjny sprecyzowany w dekrecie królewskim z 1869 r., nie był mu znany. Nie bez gryzącej ironii stwierdza wyrok Trybunału, że „nie może przyjąć takiego punktu widzenia“. Państwo przybrzeżne Morza Północnego wysoce zainteresowane w rybołówstwie, mocarstwo morskie tradycyjnie baczące na prawa morskie, nie mogło nie znać Dekretu z 1869 r.

Wyrok z 18 grudnia 1951 r. jest zatem nie tylko ważnym punktem widzenia teorii i praktyki prawa narodów, ale również i zasad moralności międzynarodowej. Dowodzi on, że procesy społeczne zmierzające do emancypacji klas upośledzonych, stwarzają atmosferę, w której małe państwa mogą skuteczniej bronić swych praw i nawet postanowienie Trybunału Haskiego, który niewątpliwie jest uwikłany w spór sprzeczności ogarniających świat kapitalistyczny, nie są niezależne od potężniejszego z dnia na dzień ruchu wyzwolitego.

Franciszek Witowicki

Barbara WELLENGER

PIOTR NORBLIN

Wystawa „Wiek Oświecenia w Polsce” wzbogacona została nieoczekiwanie, po raz pierwszy w takiej ilości i wyrazie, przez akwaforty, rysunki, szkice piórkiem Norblina.

Piotr Norblin de la Gourdain (1745 — 1830) wychowany i kształcony był we Francji. Syn mieszczańska, a uczeń w Paryżu m. in. batalisty Franciszka Casanowy, był już jako 29 letni młodzieniec artysta o skryztałizowanym obliczu.

W roku 1774 Norblin wyjeżdża do Polski. Fakt opuszczenia Paryża, w okresie gdy tenże był ośrodkiem kultury europejskiej 18 stulecia, może się wydawać dziwnym. Styl i smak rokokowy przetrwać miał jeszcze przez lat kilkanaście aż do Wielkiej Rewolucji, jakkolwiek Francja w osobie artysty tej miary co Chardin, przejmowała już wpływy jedynego, miłującego materialne powaby życia malarstwa mieszczańskiego Flamanów i Holendrów. Dla grupy malarzy oficjalnych, jak Boucher, Fragonard, De la Tour jest wzorem Watteau. Norblin zachęcony stosunkiem do artystów-cudzoziemców króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, mecenas sztuki — nie wahał się przybyć do odległej Polski, uchodzącej za kraj

niemal barbarzyński, w charakterze nauczyciela dzieci ks. Adama Czartoryskiego oraz „nadwornego” malarza. Tutaj artysta staje się szybko popularyzatorem rokoka, idąc w



Piotr Norblin — Żona artysty

ślady Watteau w tematyce i w formie, schlebając swymi dekoracyjnymi paneaux i obrazami salonowym gustom magnaterii i szlachty polskiej. Stąd właśnie znany jest nam Norblin, malarz wdzięcznych i wykwintnych „focertów” i „zabaw w narku”.

Nie w tym wyczerpuje się zasób wiedzy plastycznej Norblina, w okresie trzydziestu lat spędzonych w Polsce.

Kraj ten o ciekawej, oryginalnej kulturze, musiał uderzyć wyobraźnię wrażliwego cudzoziemca. Nowe, malownicze otoczenie, pełne charakteru i barwy ubiory, typy szlachty, mieszczań, chłopów, porwały swym zamaszty stylem, uzewnętrzniającym się na sejmach, sejmikach, zabawach, nabożeństwach, odpustach, targowiskach, pojedynkach. Dzieło Norblina zaroilo się ludem polskim. Francuz - realista, bystry obserwator, ocknął się w oficjalnym malarzu „fêtes galantes”. Zainteresował się nieuszmiowanym, nieopozowanym życiem, w którym toczy się zajądła i nieustająca walka o prawo istnienia, a do głosu dochodzą mocne, często brutalne namiętności.

Osobiste doświadczenia plastyczne Norblina z okresu jego młodzieńczych, wnikliwych, pełnych uwielbienia i cierpliwości studiów nad akwafortami Rembrandta, uzewnętrzniają się w postaci krajobrazów komponowanych z holenderskich, widzianych po malarstwu w dramatycznym światłocieniu, lub nieprzelicznych typów staropolskich. Nie-

dola pańszczyźnianego chłopu, rozpacz prowadzonych pod bronią zaciężnych kmieci, znajduje swego przenikliwego a obiektywnego kronikarza. Z równym zainteresowaniem, zaprawionym lekkim szyderstwem, rysuje ekonomów o twarzach wulgarnych, podgolonych, dufnych i nadętych szlacheurów, czolobitnych a bezmyślnych panków, którzy krzykiem „veto” bronili swej swawoli i przywilejów. Oglądamy i sceny batalistyczne, kosynierów racławickich, i sejmową salę „3 Maja 1791 roku”, pogrążoną w nastroju powagi i patosu chwili, jest i „Odpust na Białanach”. „kara chłosty” czy „sejmik w kościele”.

Nie sposób wyliczyć olbrzymiej, przesuwającej się przed naszymi o-



Piotr Norblin — Kobieta z garnkiem

czami galerii typów, typków, wydrwigroszy, hultai, biboszy, rozpustników, galantów, próżniaków, gadulskich, czy mniej zróżnicowane a jakże wyraziste postacie wynędzniałe, chude, zaniedbane. Sucha, potoczna linia jest Norblinowi raczej obca, zastępuje ją najczęściej przerywana, niecierpliwa kreska o zmiennym napięciu. Kontur blednie w siatce krótkich kresczek, jakkolwiek śmiałość ogólnej, syntetycznej a zarazem realistycznej charakterystyki kształtu osiąga prawie zawsze.



Piotr Norblin — Szlachcic Polski

Do typów szlacheckich wraca wielokrotnie, szkicując, poprawiając, trawiając płyty po 5 — 6 razy, w poszukiwaniu coraz doskonalszej formy artystycznej. Skłonność do groteski nie zaciera w jego dziełach naturalności lub wdzięku figur.

Nieoceniona wartość dokumentarna zawiera się w świeżości obserwacji pełnych prawdy i smaku, a pozwala bez trudu pominąć eklektyczny raczej charakter grafiki oraz malarstwa Norblina, niezmordowanego ilustratora Polski 18 wieku.

NAJNOWSZE PLANIE

Pejzaże à la Rapacki

ORNILOG potrafi dokładnie wytłumaczyć, jaka jest różnica między orłem i gilem. Naukowo można wyjaśnić, dlaczego indyk nie przypomina jastrzębia. Ale jak uzasadnić naukowo, że w poezji jedni szybiują orlimi loty, zawisają u sycyżu nieboskonu, a inni popiukują w przydrożnych krzewach, lub gulgają przez całe życie w jednej zagrodzie? O wytłumaczenie bardzo trudno. Trzeba poprzestać na stwierdzeniu, że istnieje zawsze wyraźny podział na poetów wyższego i niższego lotu, podział na orły i gile czy — jak kto woli — skowronki.

Oczywiście, poeci minorum gentium są zawsze liczniejsi i zawsze uznawani za mniej typowych, mniej ciekawych. Ale kto zbada czy nie oni bardziej wzruszą kogoś niż poetae maiores? Kto zapewni, że ich zaśpiewki, tiurtiurkania i popiukiwania nie staną się radością dla czychś mało wrażliwych uszu? Kto zapewni, że ich pejzażki, malowane wodnistymi farbami i wyskubanym pędzelkiem, wyblakłe i sentymentalne nie będą wzruszały wieczną mglistością, fiolecekami, drzewinami, sielskością, dróżką piaszczystą i zadumaną dziewczynką na rozdrożu?

Dlatego — chociaż mnóstwo istotnych problemów przyciąga większą część uwagi — warto na marginesie obowiązkowych lektur odnotowywać te spostrzeżenia, które przydad się mogą nie tylko do ustalania proporcji drugo- czy trzecioplanowych zjawisk poetyckich, lecz także do ich powolnego awansu.

JAN KOPROWSKI jest typowym przedstawicielem tej poezji, która nie kojarzy się w naszym odbiorze z orlim lotem czy wielkim malowidłem, lecz metaforycznie określać się pozwala raczej jako śpiew bardziej nizinnego ptaka, czy pejzażek mniej monumentalnego, a bardziej pocztówkowego malarza.

Wydane poprzednio zbiorki: „Arkusze poetyckie” i „Nowa ziemia” sąd ten ustaliły w sposób bardzo wyraźny. Zbiorek ostatnio wydany¹⁾ jest potwierdzeniem ustalonego sądu.

¹⁾ Jan Koprowski — „Pejzaże polskie”, „Czytelnik”, 1951, red. Jerzy Lisowski, str. 71.

Wiersze Koprowskiego są ciągle takie same. Zmiany w intensywności widzenia świata nawet najwnikliwszy czytelnik nie dostrzeże, zmiany w szerokości i głębokości perspektyw nawet najzyczliwszy krytyk nie odnotuje. Koprowskiemu ciągle jeszcze wystarcza opis, wystarcza mało ambitna konstatacja faktów, zadowala go zwykła technika mechanicznego komentarza. Koprowski nie dostrzeża, że w zadowoleniu tym jest osobniony. Radosne, lecz nie rozszerzające powielanie samego siebie nie jest potwierdzeniem godności poezji, lecz prawie jej zaprzeczeniem. Kartkując po sennej lekturze ostatni zbiorek Koprowskiego musimy zatrzymać się przy wielu własnych, lecz zawinionych przez wiersze, pytajniakach.

Wygodnicka statystyczność, pocztówkowość czy wręcz oleodrukowość widzenia poetyckiego zaciążyła, bo zaciążyć musiała, nad kształtem artystycznym „Pejzaży polskich”. Są to pejzaże à la Rapacki. Porównanie to nie powinno być rozumiane jako obraza pod adresem zmarłego malarza, lecz jako skierowany pod adresem poety zarzut taniego sentymentalizmu, uproszczonych reakcji emocjonalno-intelektualnych i cikliwego konwencjonalizmu. Tomik Koprowskiego jest ostrzeżeniem przed poezją pozabawioną intensywnego wchłaniania i przetwarzania świata, poezją pozabawioną rygoru czujności artystycznej.

Autor „Pejzaży polskich” jak gdyby lekceważył własne wiersze. Nie troszczy się o to, że kuleją, że są anemiczne i chwilami wręcz niedoświadczane. Każde im powtarza różne dygi, które przerastają w manierę. Nie zauważył np., że w manierę przeszła zapożyczona chyba u Broniewskiego technika elipsy, skrótowość poetyckiej jednostki syntaktycznej. Przykłady: „Wrogom — w kułak ściśnięte pięści” (str. 6), „O miłości myśl jak o słońcu. Z niej — czyni” (str. 7), „Lipce — kawał Ludowej Polski, radość — światu” (str. 14), „Wczoraj wróg klasowy góra, dziś — na dole” (str. 14), „Ojcu — ciężar rąk i serca, dziadowi — pańszczyzna” (str. 14), „Z rewolucji wiersze wyrosły, z nich — rewolucja” (str. 51) itd. Itd.

Brak czujności poetyckiej pozwolił wielu błędem i naiwnościom na dywersję artystyczną. Oto poeta wspomina:

„W Łepsku gospode pełna twarzy,
Było w niej ciepło...”

Co więc poeta robił ze względu na wysoką temperaturę? Poeta:

... sobie marzył!”

Brak czujności pozwala zakwitnąć w wierszach Koprowskiego niesmacznym hiperbolom. Przykłady:

„W niejedną noc drobniutki potok
Spływał po twarzy Tarasa mamie.”
(str. 55)

Lub:

„W słotne wiosny festynie chłodne
Pot cię zalewał, chłopcze jak potok.”
(str. 56)

Czy:

„Was, sterujących ku krwawej chmurze,
Nienawiść moja spaliła na żużel.”
(str. 55)

Mamy tu do czynienia z niezamierzoną chyba degradacją słowa, z mimowolną może dewaluacją jego poetyckiej godności. Jeszcze krok i poeta zacznie pisać o morzu krwi, oceanie bólu czy gejzerach namiętności. Taka ekonomia środków artystycznych zdradza rabunkową nieplanowaną gospodarkę. Musi się mścić inflacją monety poetyckiej.

Wystarczy przeczytać dwie pierwsze zwrotki symplackiej „Polemiki z przyjacielem”, aby z anonimowym adresemat wiersza solidaryzować się w obawie o twórczość autora utworu. Gdy autor pisze:

„Wybac, lecz mnie się właśnie zdaje,
Że o pokoju piszę za mało —

musimy przyznać mu rację o tyle, że o pokoju w naszych czasach pisanie nigdy za dużo. Ale gdy poeta stwierdza, że:

„Dlatego musł pisać dużo
o tym. I pisać coraz więcej —”
(str. 60)

uważamy za konieczne stwierdzić, że istotna jest nie przede wszystkim ilość, lecz przede wszystkim jakość. Ona decyduje o skuteczności szlachetnej służby poezji. A skuteczność to znaczy w języku postulatów rzetelności, głębia i powaga doświadczeń, przeżyć i wypowiedzi poetyckich.

Dlatego zapytajmy: może raczej mniej, ale za to lepiej?

Z L.

Kau
SYLWETKI
i
Zdarzenia

PORUSZYŁ Z POSAD ZIEMIĘ

KIM był Kopernik? W teny: Kłują ze krwi naszej, kosań z koci, rodzony na Pomorzu, u Toruniu zmarł na kanona uwmianiskiej. Canonicus di Warmia, wowiego Leopardi. Ale nie o to chodzi. Pytając, kim był, zdajmy oapoutedzi. że. jak o misze Renesansu, Leonardo, Michał Anioł, Pavo, był wszystkim: filozofem, matematykiem, technikiem, hydraulikiem, mternycznym, geografem, medykiem, prawnikiem, ekonomistą, skarbowcem, mężem stanu, żołnierzem, poetą, artystą-malarzem i astronomem.

Ba!
Kopernika-filozofa zaciekawia i zapak Pitagoras, Kopernik — profesor Mathematicum występuje w papieskiej Sapienzy, pisze „Trygonometrię” i wydaje w Wittenberdze. Hydraulik buduje wodociągi we Fromboku i bodaj w Kudzynie. Geograf przybiera sobie do pomocy najpierw Bernarda Wapowskiego, później Aleksandra Skulteti i sporządza mapy Polski, Prus i Warmii, Krainik wywoza dyplom doktorski z Ferrary. Skarbowiec rozprawia w osobnym trakcie „o sposobach polepszenia monety” Żołnierz kieruje obroną Olsztyna przed Krzyżakami. Polityk układa skargę do Zygmunta I na uzirołomstwo W. Mistrza, pogwałcenie rozejmu i ponowny najazd na Warmię. Poeta opiewa „Siedem gwiazd” i z greki na łacinę tłumaczy „Listy byczajowe, wiejskie i miłosne” Teofilakta Simokatty. Artysta zawiązuje autoportret, dochowany, niestety, w kopii, który namalował z odbicia w zwierciadle.

Astronom zaś?
Rówieśnik Szekspira, młodszy więc laty od polskiego astronoma, angielski Davies odnajdzie symbol rytmu życia kosmicznego u oryginalnej zgoła „filozofii tańca”. Dla Kopernika życie owe nie miało nic z tańca. Taniec, bowiem to tak czy siak wykwit niepokoju, wynikłego z temperamentu i tęsknoty, ojciec niespodzianek, gdy w myśli kopernikańskiej życie wszechświata oprzeć się musiało o wieczysty ład i harmonię. Trzeba zatem obrócić w pewnik mgliste przeczucia Pytagorasa i pługorejczyków, Filolaosa i Arystarcha z Samos — z dysharmonii w mechanizmie epicyklów Ptolomeusza, z błędem „ekwantów” zwycięsko wysnuć najprostszą wniosek:

Niechaj ziemia i planety obiegają wokół słońca. Oto revolutiones orbium coelestium.

Oto rewolucja, której światem wszechświat, wszczęta przez Kopernika, poprowadzona dalej przez Galileusza i nieszczęsnego Giordana, System słoneczny i nieograniczona mnogość podobnych. Słońce nie zatrzyma się po raz drugi na zakłęcie żadnego łozuego.

Detronizacja ziemi.

Lec starą naukę Ptolomeusza usiwęcał wtedy autorytet Kosci. Jakież można było „przypuszczać bez narazenia się na zarzut braku pobożności — mówi Jeans — że wielki dramata upadku i odkupienia człowieka, w którym sam Sy. Boży wziął udział, rozegrał się na scenie mniej ważnej, niż środek wszechświata”.

A jednak się porusza!

I chociaż ziemia się porusza w czasach Kopernika słońce zakręcało wale niepodzielnie nad błękitami, nie ono jednak, które, któż nam za ręczy, że jutro nie ulegnie i kolm innej detronizacji, nie ono jednak jest istotnym słońcem świata dla nas, katolików.

Ponieważ jest nim Krzyż

Tadeusz WIERZBICKI

Znaczenie przestrzeni zielonych w miastach

NIEWIELU zapewne jest dzisiaj ludzi, którzy by nie doceniali znaczenia parków, ogrodów i zieleni w miastach, lecz docenianie roli terenów zielonych nie zawsze jest równoznaczne z uświadomieniem sobie, dlaczego tereny zielone są niezbędne w nowoczesnym mieście, jaka jest ich rola i w związku z tym jak wielki powinny zajmować obszar.

Jest rzeczą bezsporną, że czyste, zdrowe powietrze w miastach to kwestia odpowiednio wielkich i odpowiednio rozplanowanych terenów zielonych w samym mieście i poza miastem. Problem przestrzeni zielonych, do niedawna nowy, jest rozwiązywany rozmaicie w wielu państwach, gdzie buduje się lub przebudowuje miasta. Na dużą skalę realizuje się obecnie w ZSRR. Nie ulega wątpliwości, że w krajach socjalistycznych istnieją większe możliwości do rozwiązania tego problemu; nie ma tu komplikacji wynikających z nienaruszalności własności prywatnej, jak ma to miejsce w krajach kapitalistycznych. Wiek XIX, wiek zwycięskiego kapitalizmu, przyniósł ze sobą imponujący rozwój wielkich miast przemysłowych, lecz rozwój ten w minimalnym stopniu liczył się z potrzebami ludzi pracy. Względów zdrowotnych w masowym

Zagadnienie przestrzeni zielonych w miastach można rozpatrywać z wielu punktów widzenia; lecz tu ograniczam się do społecznego, a mianowicie: znaczenia terenów zielonych dla psychicznego i fizycznego zdrowia mieszkańców miast oraz ich racjonalnego wykorzystania.

Nasuujące się tutaj zagadnienia dadzą ujść się w trzy pytania: a) dlaczego świat pracy w miastach potrzebuje przestrzeni zielonych? b) jak wielkie przestrzenie powinny zajmować w socjalistycznym mieście tereny zielone? i wreszcie c) jak powinny być zagospodarowane te tereny? Te trzy kwestie będą się przewijać poprzez cały niniejszy artykuł. Ze społecznego punktu widzenia interesuje nas szczególnie pierwsze pytanie; drugie i trzecie wkracza już częściowo w dziedzinę praktycznego planowania, gdzie krzyżuje się wiele momentów, przede wszystkim natury architektonicznej i ekonomicznej.

PRACA I ODPOCZYNEK W ŻYCIU MIESZKAŃCÓW MIAST

PRACA jest normalnym, niezbędnym warunkiem utrzymania ustroju człowieka w stanie zdrowia i ogólnej równowagi. Lecz nieodłącznym towarzyszem pracy jest zmęczenie. Wprawdzie nowe odkrycia i wynalazki czynią pracę lżejszą, lecz daleko posunięty podział pracy czyni ją znowu bardziej jednostajną. Otóż mamy różne rodzaje zmęczenia, zależne od: 1) rodzaju i czasu trwania pracy, 2) warunków, w jakich się ona odbywa i 3) charakteru wykonywanego daną pracę. Stosownie do tego innym rodzajom zmęczenia podlegają: górnicy, kowale, ślusarze, stolarze itp., niż ludzie wykonujący lżejszą pracę fizyczną, lecz połączoną z dłuższym napięciem uwagi w czasie pracy jak np.: tokarze, zegarmistrzowie, tkacze, kasjerzy itp. (zmęczenie innych grup mięśniowych oraz wyczerpanie nerwowe). Wreszcie istnieje osobna grupa zawodów związanych ze stałym napięciem nerwów. Będą to politycy, lekarze, nauczyciele, urzędnicy itp., których pracy towarzyszy przeżywanie pewnych emocji i wzruszeń powodujących ogólne wyczerpanie nerwowe, trudne nieraz do usunięcia.

Należy wobec tego w akcji wypoczynkowej, której zasadniczym elementem będzie przebywanie wśród przyrody, uwzględnić różne rodzaje zmęczenia. W ten sposób zagadnienie przestrzeni zielonych w mieście i pod miastem staje się integralną częścią zagadnienia czasów.

Podstawowy element stanowi tu przede wszystkim **odpowiednie rozplanowanie terenów zielonych w samym mieście i pod miastem**, (przez czym przez tereny zielone rozumie się wszelkie sztucznie złożone lub utrzymane urządzenia zielone, jak zieleńce, parki ludowe i parki kultury, podmiejskie lasy, stawy, ogrody botaniczne, zoologiczne, muzea skansenowskie itp.).

POTRZEBY CZŁOWIEKA PRACY A OTOCZENIE

JAKIE potrzeby człowieka są zaspokajane przez przestrzenie zielone w miastach? Wydaje się, że zarówno fizyczne jak i psychiczne. Do pierwszych zaliczamy przede wszystkim szeroko pojętą potrzebę ruchu. Odczuwają ją ludzie w każdym wieku, lecz szczególnie silnie

występuje ona u dzieci i młodzieży. Zabawa i sport, spacer i wreszcie praca w ogrodzie są środkami zaspokajającymi tę potrzebę. By środki te skutecznie mogły działać, musi każde miasto posiadać różnego rodzaju plac zabawowe i sportowe, baseny pływackie (wraz z zakładami kąpielowymi), aleje spacerowe oraz lasy, łąki podmiejskie. Z lasami tymi jest w Polsce bardzo źle. Dla przykładu przytoczymy, że Warszawa posiada w promieniu 50 km tylko 14% pow. lasów, Kraków 10%, a dla porównania; Berlin aż 52% pow.

Drugą potrzebą fizyczną jest **chęć odpoczynku**. Zaspokoić ją mogą prze-

Jeśli chodzi o rozmieszczenie terenów zielonych, to jego racjonalność decyduje niejednokrotnie o większej lub mniejszej ich wartości. Uwzględnić tu trzeba przede wszystkim, poza wymienionymi już warunkami ogólnymi, kwestię dostępu do terenów zielonych. Łatwość dostępu a więc bliskość od miejsca zamieszkania i sprawa komunikacji decyduje często o stopniu wykorzystania danego terenu. Dotychczasowy, w skali całego miasta układ listy zieleni, (np. Planty w Krakowie) ustępuje coraz bardziej na rzecz układu promienistego tj. tworzenia w miarę możliwości zespołów zieleni zbieżających się po promieniu ku środkowi miasta. Ideальnym rozwiązaniem byłby układ promienisty uzupełniony systemem szerokich pasów zieleni izolujących dzielnice przemysłowe od mieszkalnych.

Za skupieniem przestrzeni zielonych w większe kompleksy przemawia szereg względów. Otrzymujemy w ten sposób duże rezerwuary świeżego powietrza o znacznej pojemności ludnościowej oraz lepsze warunki dla wegetacji samych roślin. Również nie bez znaczenia jest względnie ekonomiczny, mianowicie niższy koszt utrzymania na jednostkę powierzchni. Tym niemniej nie znaczy to, by małe obszary terenów zieleni (nie wielkie ogrody, skwery, alejki, grupy drzew, krzaków itp.) były w mieście zbędne. Są one również bardzo pożądane, bo czynią życie mieszkańców bujniejszym i zdrowszym.

Dążymy niewątpliwie do pewnego porządku i systematyczności w układzie zieleni, lecz z drugiej strony nie chcemy, by wszystko było sadzone „pod rząd”. Cienimy sobie pewną nieregularność, gdyż to wprowadza do naszego, często jednostajnego, życia pożadaną szczyptę romantyczności i fantazji. Dlatego więc tu i ów-

wie blisko. Idealem byłaby odległość do 10 minut drogi od najdalszych mieszkań w obsługiwanym przez dany ogródek okręgu. Do najbliższego parku nie powinno być dalej niż 20 minut, podczas gdy boiska sportowe i łaski miejskie mogą być oddalone do 30 minut drogi.

DROGA DO PRACY, OGRODY JORDANOWSKIE, PARKI KULTURY

UMIEJĘTNOŚĆ gospodarowania swoim czasem jest zawsze cenną zaletą, lecz nabiera specjalnego znaczenia w warunkach wzmożonej intensywności pracy i produktywności w ramach gospodarki planowej. Mieszkaniec miasta zużywa sporo czasu na dojazdy do pracy i do domu. Byłoby więc rzeczą pożądaną, by droga ta, oczywiście w miarę możliwości, mogła być jednocześnie spacerem przez przestrzenie zielone bądź to przez parki, bądź aleje czy zieleńce. Niewątpliwie przy układzie promienistym zieleni skrzyżowanym z zielonymi pasami izolacyjnymi oraz z wykorzystaniem wszelkich wolnych miejsc na zieleni, można by idealnie „zieloną drogą” do pracy urealnić.

Postulat gęstej sieci ogródków dla dzieci (tzw. Jordanowskich) wydaje się oczywisty, choćby ze względu na omówioną wyżej konieczność ich bliskości od osiedli mieszkalnych. Jednym z momentów utrudniających realizację tej akcji jest koszt wyposażenia tych ogródków.

„Parki Kultury i Wypoczynku” są na naszym terenie rzeczą nową. Istnieją one natomiast w niektórych miastach Związku Radzieckiego. To też pierwszy tego rodzaju park powstający u nas na Śląsku wzorowany jest na przykładach radzieckich. Koncepcja takiego parku jest ciekawa, gdyż próbuje zrealizować zarówno regenerację sił fizycznych i psychicznych świata pracy jak i zaspokoić jego potrzeby kulturalne za pomocą wystaw, pokazów, muzeów, zabaw regionalnych itp. Stosownie do tych wielorakich zadań teren parku dzieli się zazwyczaj na część przeznaczoną na wypocinek bierny (park leśny, odizolowany od ruchu i zgiełku dla leżakowania, kąpień słonecznych, pijalni wód itp.) oraz na część przeznaczoną na wypocinek czynny (sporty, rozrywki, tereny dziecięce itp.) i wreszcie na teren dla celów kulturalno-oświatowych, który częściowo mieści się w drugiej części parku. Oczywiście park taki poza wieloma innymi warunkami musi rozciągać się na odpowiednio dużym terenie, jeśli ma rzeczywiście spełnić swoją rolę.

Osobnym zagadnieniem jest przebudowa i zazielenienie (drzewa lub krzaki i praca) istniejących podwórek w dzielnicach niezniszczonych wojną, by poprawić estetykę wewnątrz tych kamienic i higienę naszego życia.

Znaczenie społeczne przestrzeni zielonych jest tak duże, że kwestia zazielenienia naszych miast staje się zasadniczym postulatem urbanistyki.

Tadeusz Wierzbicki



Bydgoszcz — przykład dodatniego zalesienia okolicy miasta (zieleni oznaczona kolorem czarnym) Skala 1:300.000

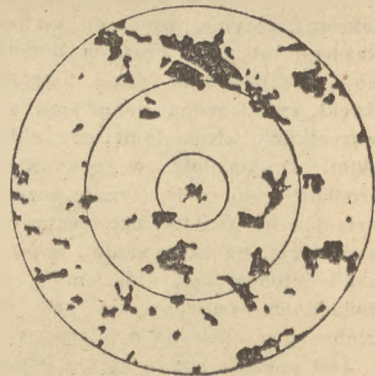
strzenie zielone zaopatrzone w odpowiednie urządzenia, jak ławki, leżaki itp. oraz specjalnie odseparowanie od zgiełku i wrzawy wielkich parków i lasów podmiejskich. Byłoby to miejsce wypoczynku dla tych, którzy w procesie pracy silnie zużywają swój system nerwowy i szukają wytchnienia w ciszy i samotności.

Wreszcie potrzeba w życiu i a. Odgrywa ona w dziedzinie terenów zielonych rolę pomocniczą, tym niemniej istniejące ogródki działkowe i przydomowe nie tylko stanowią rezerwuwar świeżego powietrza, lecz są również poważną pozycją w budżetach posiadających te ogródki rodzin pracowniczych.

Do psychicznych natomiast potrzeb zaliczamy potrzebę **piękna** w naszym otoczeniu, czemu uczynią zadość ogrody kwiatowe, klomby o ozdobnych roślinach oraz architektura ogrodowa. Dalszą potrzebą naszej psychiki jest zainteresowanie dla życia natury i jej przejawów. Temu uczynią znow zadość ogrody szkolne, botaniczne i znaczniejsze przestrzenie zielone z wolno żyjącymi tam zwierzętami.

ILOŚĆ I WIELKOŚĆ PRZESTRZENI ZIELENYCH W MIASTACH

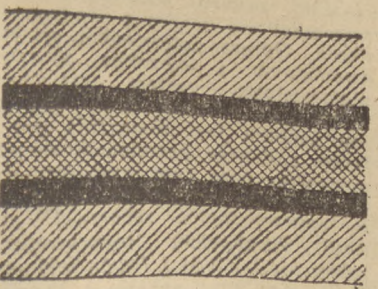
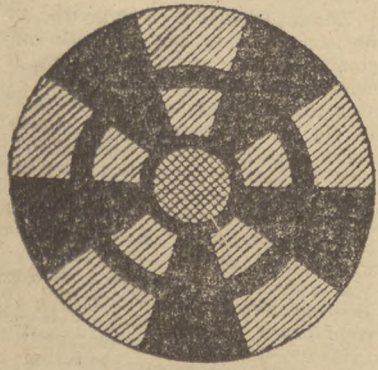
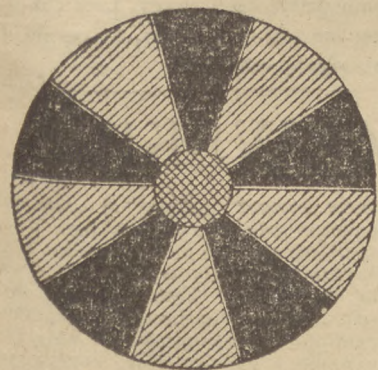
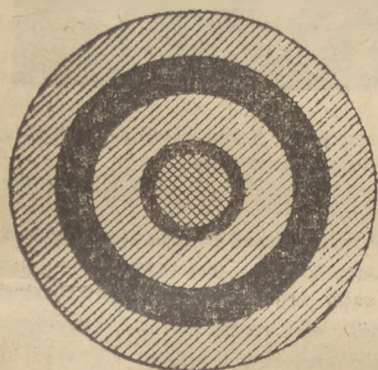
WAŻNYM zagadnieniem w planowaniu przestrzeni zielonych jest określenie dwóch elementów: **wielkości** tych przestrzeni oraz **rozmieszczenia**. Co do pierwszego elementu, to należy stwierdzić, że nie ma jednolitych norm stosowanych we wszystkich krajach. W praktyce oblicza się różne wskaźniki, bądź to w stosunku do mieszkańców, bądź na jednostkę powierzchni. Zależnie od kraju bądź miasta otrzymujemy inny obraz. I tak w Związku Radzieckim — ustala się dokładnie normy zależnie od wielkości miasta, przeciętnie w większych miastach od 20 m² do 30 m² na jednego mieszkańca. Urbanisci amerykańscy przeznaczają natomiast 10% całej powierzchni miasta na zieleń (ok. 1 akra na 100 mieszkańców). W Polsce projektuje się dla Warszawy osiedla w skali 30 m² przestrzeni zielonej na jednego mieszkańca.



Lublin — przykład niedostatecznego zalesienia okolicy miasta (zieleni oznaczona kolorem czarnym) Skala 1:300.000

dzie rozsiane mniejsze tereny zielone na placzkach, skwerach i podwórkach, nasypach torów i wiaduktów, pod domami i murami lub wreszcie na niezabudowanych placach podnoszą bardzo estetyczny wygląd miasta. Czynią je nam bliskim i miłym. Drugi względ to kwestia bliskości, a więc łatwego dostępu do zieleni.

W kwestii bliskości terenów zielonych od miejsca zamieszkania zasadniczym momentem jest funkcjonalna rola danego terenu. I tak ogródki dziecięce powinny być tak gęsto rozmieszczone, by było do nich możli-



Schemat układu zieleni. Układ pierścieniowy, promienisty, pierścieniowo-promienisty i pasmowy (Zieleni oznaczona kolorem czarnym)

budownictwie dziewiętnastowiecznym nie brało się w rachubę, a cóż dopiero mówić o względach estetycznych w zabudowie miasta. Inaczej budujemy dzisiaj.

„LISTY NIKODEMA”

JANA DOBRACZYŃSKIEGO

ukazały się nakładem

INS. WYD. „PAX” WARSZAWA

Zamówienia prosimy kierować do
BIURA SPRZEDAŻY, WARSZAWA, MOKOTOWSKA 43
KONTO P.K.O. 1-8515.

Cena zł. 36.-

Józef SZCZAWIŃSKI

G. B. Shaw w Teatrze Współczesnym



Państwowy Teatr Współczesny w Warszawie. Profesja Pani Warren. G. B. Shaw'a. Irene Eichlerówna w roli tytułowej. fot. E. Hartwig

N AJBARDZIEJ popularnymi cechami dowcipu Shaw'a są jego błyskotliwa paradoksalność, ciętość i giętkość zarazem, intelektualna żonglerka małymi słowami, które wiele znaczą.

Szpilki przeintelektualizowanych i-graszek „wielkiego kpiarza” dały się we znaki spastemu iwu angielskiej burżuazji — lecz było to dopiero później. W młodości uderzał Shaw inaczej, mniej precyzyjnie ale równie skutecznie. Atakując podwójną moralność atakował jej podstawy — to co jest zmienne — ustroj i to, co jest stałe — utonność natury ludzkiej, zło, które często wydaje się przepiękną człowieka.

Przyjął się utarty schemat w odczytywaniu jednej z pierwszych sztuk Shaw'a „Profesja Pani Warren” — dotyczy to przede wszystkim stosunku dwu czołowych postaci a w szczególności p. Warren, w której widziano wyjątkowo zdeprawowaną ofiarę warunków społecznych, kobietę, której zawód stał się „nałogiem”, którą miłość do córki niejako uszlachetnia, każe zapomnieć o przestępczości jej czynów.

Tendencją autora było nie tyle usprawiedliwienie pobudek i postępów kierowniczkich wiadomych zakładów, lecz zdemaskowanie amoralności ówczesnych stosunków społecznych. Nie zapomina jednak Shaw o rzeczy bardzo istotnej, w jego ujęciu człowiek nie jest tylko gliną w rękach środowiska. Warunki społeczne kształtują w dużym stopniu morale jednostki, mogą je zniszczyć lub ocalić, lecz nie zawsze są czynnikiem decydującym, nie można bowiem przejść obojętnie obok czynnika woli, obok cech, które człowiek przynosi z sobą na świat.

Przełamanie konwencjonalizmu w rysowaniu postaci p. Warren jest zasługą Ireny Eichlerówny. Wydobycie wulgarności, która cechuje matkę Wiwii przy jednoczesnym uniknięciu łatwizny szufladkowania prowadzącego często do pokazania bohaterki jako „czarnego charakteru”, zaznacza realizm postaci. Nie mamy również do czynienia z kukielką poruszaną bezwładnie przez ustrój. Pani Warren w interpretacji Eichlerówny to typowy przykład zdrady klasowej. Oczywiście, że ustrój przyczynił się do zdemoralizowania p. Warren, ale czy była ona naprawdę jednostką

ślaba moralnie, nie umiejąca się oprzeć pokusom łatwego życia. Wiedziała przecież, czego chce i do czego dąży od chwili, gdy na drodze jej stanęła Eliza.

Te uwagi nie mają na celu osłabienia demaskatorskiego znaczenia wczesnej sztuki Shaw'a, w innym ustroju bez wątpienia życie p. Warren inaczej by wyglądało. Lecz warunki społeczne nie zawsze były jedynym i wyłącznym czynnikiem sprawdzającym dziewczynę z proletariatu na drogę prostytucji.

Sukces Eichlerówny, którą niestety za rzadko widzimy na naszych scenach, polega przede wszystkim na doskonałym zrozumieniu i przeżyciu postaci, którą odtwarza, na owym zmyśle aktorskim, opartym na inteligencji i rutynie, będących cechami każdego talentu; oraz na umiejętności zrealizowania tego przeżycia dzięki świadomemu panowaniu nad wszystkimi elementami gry aktorskiej. Doskonałość w opanowaniu środków scenicznych wyraża pozwala artyście na świetne operowanie gestykulacją, na stosowanie wysokiej skali intonacyjnej, która mniej doświadczoną odtwórczynię roli mogłaby sprowadzić do manieryczności.

Jest ponadto rzeczą bardzo widoczną, że Eichlerówna nadaje ton całemu przedstawieniu, nie przytłaczając jednak swoją osobowością artystyczną pozostałych ról.

Halina Kossobudzka popiełniła pewne błędy w pokazaniu Wiwii, lecz znajdujemy w jej grze momenty naprawdę przekonujące. Szczególnie dobrze opanowała artystka trudne przejścia z partii o kolorystyce sentymentalnym do scen, w których napięcie dramatyczne nagle wzrasta. Scena z Croftsem została zagrana bez zarzutu, mimo iż łatwo było o popadnięcie w przesadę, w melodramat lub nadmierną suchotę.

Postać Wiwii bywała błędnie odczytywana, jedni widzą w niej samodzielną, oschłą, omal że beznamietną, przyszłą sufrażystkę, drudzy doszukują się w młodej dziewczynie cech bardziej kobiecych, czułości, serdeczności skrytej pod powierzchnią niezłomnego charakteru. Nie zauważono natomiast, że dziewczyna posiada jedną wspólną cechę z matką — egotyzm graniczący z egoizmem. Pani Warren stworzyła sobie swój typ życia, wytyczyła kierunek działania i nie chce go zmienić, podobnie i Wi-

wia. Drogi obydwu kobiet poszły w odwrotnym kierunku, ich cele, ich ideały tak różniące się formalnie są w istocie bardzo sobie bliskie. Obie żyją przede wszystkim dla siebie, obie oceniają sprawy z punktu widzenia swojej, osobistej moralności. Gdyby p. Warren naprawdę kochała córkę, rzuciłaby dla niej swoją „profesję”, gdyby Wiwia naprawdę dbała o morale matki, nie zamknęłaby przed nią drzwi, rezygnując z pieniędzy matczynych starałaby się wpływać powoli a wytrwale na zmianę psychiki starzejącej się kobiety.

I p. Warren i jej córka mimo wszystko poszły po najbliższej linii oporu; pokazała to doskonale Eichlerówna, nie zdołała pokazać Kossobudzka, kto wie jednak czy nie miała trudniejszego zadania.

Doskonałe tło dla postaci „dyrektorki” domów publicznych stanowił Crofts, niestety należałoby potraktować tę rolę nieco subtelniej; pokazanie tądaka w rękawiczkach nie osłabia zazwyczaj odrazy, jaką budzi tądactwo — zapomniał o tym Adam Mikołajewski, jak również i o innym bardzo ważnym rzucającym się w oczy szczególe, przecież Crofts pochodzi ze starej arystokracji, pewna ogląda byłaby tu konieczna. Nie broniłoby to ani człowieka ani warstwy, z której pochodzi, pogłębiłoby natomiast realizm postaci.

Bardzo prawdziwy typ przedstawiciela angielskiego „towarzystwa” dał Michał Melina w roli Praeda. Wytworny, poprawny, dobrze wychowany i subtelny gentleman-esteta jest postacią sympatyczną dla widza. Lecz jednocześnie, co również trafnie pokazał Melina, ten esteta dobrze czuje się w towarzystwie Croftsa, wglądając p. Warren. Pred to człowiek, któremu wychowanie i miłość piękna mnie pozwala na robienie świństw, lecz który pozostaje bierny wobec zła.

Shaw lubi niedopowiedzenia. Kreślenie ostrych konturów nie jest jego specjalnością. Takim niedopowiedze-

niem jest postać Franka Gardnera — cynik, utracjusz, niebieski ptak, szuler? — tak, ale przy tym błyskotliwy i inteligentny młodzieniec nie pozbawiony uroku. Syn pastora jest człowiekiem o słabym kręgosłupie, nie więc dziwnego, że środowisko, w którym wzrosł, łatwo mu ten kręgosłup przetraciło. Wszystkie te cechy młodego Gardnera bardzo dobrze uwydatnił Czesław Wołkeiko. Chwilami zarzucić by mu można zbyt żywą gestykulację, uzasadnioną typem postaci lecz niedostatecznie opracowaną.

Ludwik Tatarski nie pogłębił swojej roli pastora Samuela Gardnera, razi powierzchownością gry. Samuel jest niewątpliwie karykaturą, nie na-

szerokością geograficzną, nie upoważnia to do wyrwania sztuki z kontekstu miejsca. Ten „kosmopolityzm” zaciążył na przedstawieniu stępując ostre specyficzne dowcipu autora.

Dekoracje M. Portusa są niedostatecznie związane z akcją i dlatego słabo ją podkreślają. Natomiast wyróżnia się staranne opracowanie kostiumów.

O jeszcze jednej sprawie nie wolno zapomnieć w rozważaniach nad „Profesją pani Warren”, Shaw pokazuje nam ludzi pozbawionych trwałego i opartego na mocnych podstawach filozoficznych światopoglądu. Pokazuje świat, który wówczas zaczął próchnieć a dziś się wali. Jedynie



Państwowy Teatr Współczesny w Warszawie. Scena zbiorowa z I aktu sztuki G. B. Shaw'a „Profesja pani Warren”. fot. E. Hartwig

leżało jednak aż w tym stopniu ciążyć ku farsie.

Inscenizatorzy sztuki Shaw'a w Teatrze Współczesnym zagubili, zbyt szafując określeniami, rzecz bardzo istotną — koloryt lokalny. Sztuka jest wskutek tego zawieszona w próżni przestrzennej. Postacie Croftsa i p. Warren możnaby spotkać pod inną

Wiwia i Praed usiłują stworzyć światopoglądowe podstawy swego działania. Architekt szuka ich w oderwanej od rzeczywistości, przeżywanej samotnie i pojętej mglisto idei piękna, Wiwia usiłuje znaleźć je w samodzielności i pracy. Lecz cóż może dać piękno i praca, które nie dostrzegają człowieka.

Z FILHARMONII WARSZAWSKIEJ

„Nie łatwo mówić ściśle, zwłaszcza gdy trzeba mówić krótko” — tak można by sformułować powiedzenie jednego z współczesnych filozofów, chcąc wyzyskać je dla odmalowania trudności wiążących się z funkcją recenzenta. Kompozytor pisze swój utwór parę lat lub — co najmniej — parę tygodni; recenzja powstać musi w ciągu kilku godzin, a ilość problemów, które w niej mogą być poruszone jest z natury rzeczy szczupła: recenzent nie może (choćby nawet chciał i potrafił!) analizować utworów, zgłębiać tajników pracy dyrygenta lub badać wszechstronnie grę solisty i zespołu, lecz winien omówić możliwie obiektywnie te zagadnienia, które wiążą się z omawianym koncertem.

Zacznijmy omawianie ostatniego koncertu Filharmonii Warszawskiej (29 lutego i 2 marca) od paru uwag na temat utworów; pierwsza część koncertu objęła utwory muzyki współczesnej, drugą wypełniła IV symfonia Beethovena. „Pasacaille et gigue” nestora kompozytorów belgijskich Józefa Jongena (ur. 1873) świadczy o świetnym opanowaniu przez twórcę muzycznego rzemiosła — widać to głównie w precyzyjnej i oryginalnej instrumentacji oraz pracy tematycznej.

Po jednorazowym wysłuchaniu utworu muzyki współczesnej bardzo trudno o nim coś napisać; dotyczy to zarówno utworu Jongena, jak i wykonanego po raz pierwszy w Warszawie koncertu skrzypcowego Grażyny Bacewiczówny.*) Nie ulega jednak wątpliwości, że koncert ten powiększył liczbę często na naszych estradach grywanych utworów muzyki współczesnych polskich kompozytorów. Wówczas dopiero — po dokład-

nym zapoznaniu się z nim — będzie można napisać coś więcej niż kilka ogólnych uwag: przede wszystkim dotyczących świeżych i bogatych pomysłów harmonicznych i instrumentalnych oraz zmysłu konstrukcyjnego kompozytorki (widocznego w budowie zarówno całości dzieła, jak i jego poszczególnych części). Wydaje się, że kompozytorską technikę Bacewiczówny cechuje w pierwszym rzędzie umiejętność wykorzystania każdej niemal muzycznej frazy pod względem rytmicznym i że zarodkiem myśli muzycznej jest tu głównie rytmiczny motyw, wokół którego opłata się linia melodyjna. Toteż nie jest chyba przypadkiem, że na „bis” zagrała kompozytorka (i solistka w jednej osobie) szereg polskich tańców ludowych. Partia instrumentu solowego wykazuje „skrzypcowy” rodowód dzieła na każdym niemal kroku — toteż koncert ten napisać mógł tylko ktoś, kto doskonale zna wszystkie tajniki tego instrumentu. Gęsto rozsiane po sali mikrofony świadczą o tym, że koncert skrzypcowy Bacewiczówny został nagrany na taśmie magnetofonową; od Polskiego Radia więc zależy, kiedy znów usłyszymy ten utwór.

IV symfonia Beethovena (1770 — 1827) jest najlepszym dowodem, do jakiego stopnia z biegiem lat zacieśnia się ilość wykonanych dzieł pewnego kompozytora. Tak np. Schubert to dla większości słuchaczy autor „niedokończonych” symfonii i kilku tylko pieśni. Beethoven zaś to — jako symfonik — twórca przede wszystkim „dziewięci”, „heroicznych” i „pastoralnej”. W najlepszym

*) Czytelnicy i czytelniczki — zwłaszcza te ostatnie — wybaczą mi, że wbrew zwyczajowi nie podaje roku urodzenia kompozytorki.

razie jeszcze „piątej” i „siódmej”, podczas gdy pierwszych jego dwóch symfonii słuchać można rzadko, a już bardzo rzadko słyszy się jego „czwartą” i „ósmą”. Toteż pomysł wyjęcia poza „żelazny” repertuar symfoniczny zasługuje na najwyższe uznanie i godzien jest kontynuacji. Czekamy więc z kolei na „ósmą” Beethovena!

Znam osobiście dyrygenta, który obraża się, gdy nie znajduje swego nazwiska na samym wstępie omówienia koncertu. Pomijając inne względy, Fernandowi Quinet należało się tu pierwszeństwo chociażby tylko jako gościowi. Zechce mi jednak wybaczyć to niewątpliwie uchybienie po uwzględnieniu — jako okoliczności łagodzących — tego, że ustąpił pierwszeństwa naprzód swemu starszemu koledze — rodakowi, potem solście — kobiecie i wreszcie... Beethovenowi. Zasłużony na polu współpracy kulturalnej polsko-belgijskiej kompozytor i dyrygent (w roku 1951 odznaczony krzyżem oficerskim orderu odrodzenia Polski) wywiązał się dobrze z trudnego zadania. Quinet poprowadził orkiestrę swobodnym i szerokim, a zawsze niezawodnym gestem wytrawnego dyrygenta. Jego to w głównej mierze zasługa jest zespolenie gry solistki z dobrze brzmiącym zespołem orkiestry; poza tym wystarczyłoby tylko zwrócić uwagę na wspaniałe poprowadzenie scherza IV symfonii Beethovena (synchronizacja taktu na 3 i 2/4) i finału tejże symfonii, aby zdać sprawę z opanowania techniki dyrygenckiej i muzycznej kultury Fernanda Quinet, którego — spodziewam się — niedługo znów zobaczymy przy dyrygenckim pulpicie.

Czesław Krzewski

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmayer, Dominik Horodyski, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubiński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski

Adres Redakcji i Administracji: Mokołowska 43 I p. tel. 880 71, 880 26. Konto PKO — Nr 1-727. Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13

Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 1,80 zł (złoty). Kwartalnie 5,40 zł (złoty). Drukarnia Akwedensowa Warszawa Tamka 3. Zam. 853. 3-B-11298.